Allan K. Echols

Dwaj zabójcy

(Killers Two, aka Keep Off My Ranch)

Pierwsze wydanie: 1953

Rozdział 1

Drut i broń

Tego wiosennego poranka Jim Woodbine poczuł przepełniające Ashfork napięcie, narastające niczym fala uciążliwego gorąca. Jak na sobotę, na poręczach uwiązanych było bardzo mało koni pociągowych i wierzchowych, co, gdy Woodbine zauważył ten fakt, wywołało u niego ponury uśmiech. Lepiej nie kręcić się po okolicy, kiedy w każdej chwili może zacząć świstać ołów, a byli tacy, którzy spodziewali się, że tego dnia rewolwery z pewnością przemówią. Zwłaszcza jeśli Jim sprowadzi ładunek drutu kolczastego, tak jak planował.

Woodbine, szczupły mężczyzna o twarzy bardziej poważnej niż powinien ją mieć człowiek przed trzydziestką, skręcił do Elite Livery and Boarding Stable i zsiadł ze swego gniadego Quarter Horse'a[1], o zwartej budowie ciała. Sztruksowe spodnie luźno zwisały na jego długich nogach, a rozpięta pod szyją, flanelowa koszula nosiła ślady proszku do golenia, którego nie zdążył zetrzeć po zakończeniu pracy z brzytwą. Było w nim coś, co przywodziło na myśl sosnę, która przeszła przez więcej burz niż wskazywałyby na to jej lata; pewna poważna surowość, której kłopoty nie były w stanie zniszczyć.

Stary Race Greer wziął jego konia i zauważył:

— Więc naprawdę zamierzasz zacząć stawiać płot, co?

Woodbine popatrzył na niego z wyzywającą bezpośredniością.

— Tak właśnie planowałem. Dlaczego miałbym tego nie zrobić?

Greer odparł mu:

— Och, nie ma żadnego powodu. Człowiek ma prawo ogrodzić swoją ziemię, jeśli tego chce.

— Tak właśnie myślałem.

Stary Greer odprowadził konia z powrotem do stajni, mrucząc do siebie pod nosem: „Dlaczego miałby tego nie zrobić? Ponieważ Noble Fry powiedział „nie", właśnie dlatego."

Woodbine obserwował oddalającą się sylwetkę stajennego, skręcając w tym czasie papierosa i rozmyślając na temat plotek, które musiały krążyć po mieście i otaczających je terenach. Pewnie zakładali się o to, czy odważy się ogrodzić posiadłość swoją i Virginii Sterling, wbrew sprzeciwom Frya.

Potarł zapałkę i zapalił papierosa, trzymanego w zwiniętych w kubek dłoniach. Uważnie zdmuchnął zapałkę i wyszedł ze stajni, idąc w stronę

[1] Quarter Horse – amerykańska rasa koni (przyp. tłum.)

kompanii handlowej Merle'a Robersona. W sklepie przeszedł przez alejkę zastawioną kubłami z gwoździami i spinaczami, beczkami pełnymi podków, z trzema lub czterema podkowami zawieszonymi na ich obręczach, minął platformę zawaloną wysoko do góry workami mąki w płóciennych torbach, i doszedł do odgrodzonego barierką kąta, w którym Roberson siedział za biurkiem o dużym płaskim blacie, wypisując czeki na pokrycie rachunków. Wszedł przez uchylną bramkę i usiadł na drewnianym krześle obok biurka Robersona.

Roberson naskrobał swoje nazwisko na czeku, podpiął go do rachunku, zaadresował kopertę, wepchnął rachunek i czek do środka, po czym ostrożnie polizał brzeg koperty, zakleił ją i ostemplował, po czym dopiero uniósł wzrok.

Woodbine wziął blaszane pudełko z cygarami, opatrzone obrazkiem przedstawiającym orła z wężem w dziobie i napisem „Mexican Commerce". Wyjął z pudełka cygaro, odgryzł jego koniec i zapalił je, myśląc, że Merle Roberson poświęca tyle czasu na kopertę, aby móc się zastanowić, co chce powiedzieć.

Następnie Roberson odłożył kopertę na bok, oparł się plecami o oparcie krzesła i uśmiechnął się, choć jego uśmiech był trochę niewyraźny i pełen niepokoju.

— Co mogę dla ciebie zrobić, Jim?

Woodbine wyciągnął z kieszeni listę towarów i odczytał ją na głos.

— Chcę, żebyś przygotował te rzeczy na twojej platformie towarowej z tyłu sklepu, żebym mógł je zabrać, kiedy skończymy rozładowywać wagon — oznajmił. — Cztery szpadle do wkopywania słupków, cztery te nowomodne szczypce do mocowania ogrodzeń, no wiesz, z wbudowanymi obcinakami i ściągaczami do spinaczy, oraz jakieś trzy kubły spinaczy do mocowania ogrodzeń.

Roberson w milczeniu zapisał wszystkie te towary na kartce papieru, po czym podniósł wzrok znad okularów.

— Jesteś pewien, że chcesz to ciągnąć dalej, Jim?

— A dlaczego by nie? — Woodbine odpowiedział ze śladem zniecierpliwienia w głosie. — Nie da się powstrzymać postępu tak samo, jak nie da się powstrzymać chmur deszczowych, nawet gdyby ktoś miał do tego prawo. A nikt nie ma prawa mi mówić, że nie wolno mi ogrodzić własnej ziemi, jeśli mam na to ochotę.

— Nie — zgodził się Roberson. — Ale jeśli robisz to tylko po to, by zaszkodzić sąsiadowi...

— Czy tak właśnie twierdzi Fry? — warknął Woodbine. — Myślałem, że potrafisz spojrzeć na sprawę jaśniej.

Roberson wzruszył ramionami.

— Tak twierdzi on, a ty nie chcesz nic mówić. W co mamy wierzyć?

— W porządku, powiem ci to raz, a ty sami zdecydujesz, której stronie wierzysz — oznajmił Woodbine energicznie. — Wiem, że prowadzisz interesy z każdym i musisz trzymać się z boku, ale przynajmniej będziesz wiedział, jaka jest prawda.

Wziął ołówek Robersona oraz pustą kopertę, i narysował szkic.

— Pecan Creek przepływa przez nasze dwie posiadłości na odległości ośmiu mil; przez dziesięć sekcji mojej ziemi i sześć sekcji ziemi Sterlinga. Dziesięć sekcji Frya leży na północ od nas, i kiedy wąwozy są suche, jego bydło musi przejść przez naszą ziemię, aby dostać się do potoku, po wodę.

— I tu pojawia się problem. Kiedy wąwozy wysychają, jego bydło przychodzi do potoku, aby się napić, lecz kiedy się pasie, trzyma się blisko wody, co oznacza, że pasie się na naszej trawie. Krótko mówiąc, w tym najgorszym okresie, gdy nasze pastwiska są najmniejsze, musimy stać bezczynnie i patrzeć, jak bydło Frya wyjada z nich całą trawę. A on ma dwa razy więcej zwierząt niż my, więc w sumie czerpie więcej korzyści z naszego pastwiska niż my. Po prostu dostarczamy mu paszy, aby mógł zarabiać pieniądze, podczas gdy my potem musimy sprzedawać nasze bydło przed czasem, ponieważ jego zwierzęta wyjadły całą naszą trawę. Albo się ogrodzimy, albo splajtujemy - więc ja się grodzę.

— Ale co Fry ma zrobić z wodą? Twierdzi, że całkowicie odetniecie mu dostęp do wody, a on nie może hodować bydła bez wody.

— Ależ to nieprawda! Może robić to, co my; tamować wąwozy i zbierać spływającą wodę w stawach. Lecz on nie chce wydawać na to pieniędzy. Jednak i tak ogrodzenie publicznego strumienia byłoby niezgodne z prawem, więc my tego nie zrobimy. Tak więc, zgodnie z prawem, na każdej linii podziału pozostawimy wolną drogę. Bydło Frya może z jego ziemi przejść tymi drogami do potoku. On o tym wie; jest wściekły na to, że jego krowy nie będą mogły już dłużej tuczyć się na naszej trawie.

Roberson westchnął.

— Rozumiem. Ale to oznacza wojnę, Jim. Z prawnego punktu widzenia masz rację, ale nigdy nie przekonasz do tego człowieka przyzwyczajonego do otwartych ziem.

— Przekonałem się o tym. Próbowałem mu wyjaśnić, że po zbudowaniu płotów wszyscy zarobimy więcej pieniędzy, ale on tego nie rozumie.

— Fry nie rzuca gróźb — ostrzegł go Roberson — ale wiesz, że będzie walczył. Nie wycofa się ze swojego stanowiska.

— Ja też to wiem. Ale nie mogę się wycofać nie porzucając całkowicie hodowli bydła.

Roberson przeczesał dłonią włosy.

— Jeśli spróbujesz rozładować ten wagon z drutem, będzie to oznaczało rozlew krwi. Wiesz, że Fry jest w mieście?

— Przypuszczałem, że może tu być.

— No cóż, jeśli jesteś zdeterminowany, to chyba nic poza kulą cię nie powstrzyma. Czy wiesz, że Virginia wróciła? Jest w hotelu i czeka, aż ktoś odwiezie ją do domu.

— Przypuszczam, że Fry dopilnuje, by nie stała się jej żadna krzywda.

— Nie, jeśli ona dowie się o tym, co się dzieje.

— W takim razie lepiej się z nią zobaczę.

— I zabierz ją z miasta — powiedział Roberson. — Gdyby wiedziała, co się dzieje, wzięłaby ciebie i Frya, i stuknęła was obu głowami. Nie pozwoliłaby tobie i Bobowi Burnhamowi namówić się do budowy wspólnego ogrodzenia, gdyby wiedziała, że wywoła to takie kłopoty.

Woodbine podniósł się na nogi.

— Gdyby drut dotarł na czas, ta część roboty byłaby już do tej pory zakończona. Mówiłem Bobowi, żeby napisał i sprawdził, czy nie uda mu się przekonać jej, żeby została u ciotki jeszcze przez tydzień.

Roberson zastanowił się przez chwilę, po czym zapytał z nagłą determinacją:

— Może to nie moja sprawa, ale chciałbym wiedzieć, co się za tym kryje. Tu chodzi o coś więcej niż tylko o kwestię ogrodzenia.

— Sama kwestia ogrodzenia jest już chyba wystarczająca, nieprawdaż? — odparł Woodbine.

— Dla opinii publicznej, tak. Ale nie dla mnie. W końcu jestem wujkiem Virginii i jej jedynym męskim krewnym. Powiedziałbym nawet, że mam w tym pewien osobisty interes.

Woodbine szybko podjął decyzję.

— W porządku, ale to, co ci powiem, musi pozostać między nami.

— Nie jestem znany z tego, że za dużo mówię.

— No dobrze, nie mogę niczego udowodnić, ale jestem pewien tego, o czym mówię. Znasz Frya. Jest głodny każdego dolara i nie pozwoli, by cokolwiek stanęło mu na drodze do jego zdobycia, dopóki ma się na czym oprzeć. Pragnie Virginii, ale nie sądzę, by ją chciał, gdyby nie jej ziemia.

— I ty także jej chcesz.

— Nie chcę — odparł szybko Woodbine. — Wychowaliśmy się razem. Kłóciłem się z nią, odkąd była na tyle duża, by potrafiła mnie zdenerwować. Równie chętnie ożeniłbym się z żbikiem. Ale lubię ją jako przyjaciółkę i sąsiadkę. Nie chcę widzieć jej krzywdy, a jeśli się nie obudzi, to Fry ją skrzywdzi.

— Jest od niej starszy i prawdopodobnie ma od niej o wiele więcej rozumu — przyznał Roberson. — Ale w końcu ona jest dorosła i ma prawo robić, co jej się podoba. Wygląda na to, że próbujesz ją chronić, niezależnie od tego, czy ona tego chce, czy nie.

— Próbuję — przyznał Woodbine. — Mam powody, by wierzyć, że Moody Shay zabił jej ojca tylko po to, by usunąć go z drogi Noble'a Frya, aby Fry mógł mieć czyste pole do próby przejęcia jej i jej ziemi.

— To poważny zarzut — przypomniał mu Roberson.

— Wiem o tym i nie potrafię tego udowodnić. Dlatego nie mówiłem o tym wcześniej nikomu i dlatego powiedziałem ci, że to musi być pozostać między nami.

— Próbujesz to udowodnić?

— Nie bezpośrednio. Wiem, że nie zdołałbym przekonać Virginii o winie Frya, tylko z nią rozmawiając. Ale mogę zmusić Frya do pokazania swojego charakteru, żeby ona to zobaczyła. To jedyna szansa, jaką mam.

— Ale czy musisz? Dlaczego nie możesz po prostu zrezygnować, jeśli nie potrafisz tego udowodnić?

— Bo gdybym to porzucił, Frya nie dałoby się już powstrzymać. Zniszczyłby Virginię i zdobył jej ziemię, a potem stałby się tak potężny, że przejąłby kontrolę nad całą naszą społecznością i zniszczyłby wszystkich innych, w tym również i mnie. On jest jak ośmiornica i trzeba go powstrzymać, zanim stanie się zbyt silny.

Roberson zastanowił się nad całą tą sprawą, po czym odezwał się ze smutkiem.

— Nie kwestionuję tego co powiedziałeś, Jim. Ale pakujesz się w zbyt duże kłopoty. Nie wiem, jak ty i Burnham przekonaliście Virginię do ogrodzenia jej ziemi bez wcześniejszej rozmowy z Fryem, ale kiedy dowie się, że Fry jest temu przeciwny, trudno będzie z nią rozmawiać. Więc będziesz miał ją przeciwko sobie, nawet kiedy będziesz walczył w jej sprawie.

— Wiem o tym — przyznał Woodbine. — Ale gdybyśmy nie zrobili tego w taki sposób, nigdy byśmy nawet nie zaczęli. Burnham widzi tę sprawę podobnie jak ja i namówił ją do tego. Nakłonił ją, żeby pojechała w odwiedziny do ciotki, a potem napisał do niej i przekonał, by zgodziła się na ogrodzenie. Gdybyśmy otrzymali na czas drut, już byśmy zakończyli całą robotę. Teraz będziemy musieli stawić czoła wszystkiemu, co się wydarzy.

— A wydarzenia nadejdą dosyć szybko — westchnął Roberson. — Wszyscy w mieście spodziewają się rozstrzygającej próby sił z bronią w ręku, kiedy tylko zaczniesz rozładowywać wagon z drutem.

Woodbine wyjrzał przez tylne okno biura. Wzdłuż ciągnącego się za sklepem kawałka ulicy biegła bocznica kolejowa, kończąca się dwiema szynami ściągniętymi razem, wygiętymi w górę i przymocowanymi do słupa. Na końcu torów i po lewo od platformy towarowej sklepu, stał mały, niski budynek stacji i towarzysząca mu szopa, niepomalowane oraz ponure. Dalej ciągnął się szereg zagród dla zwierząt i ramp załadunkowych.

W zagrodach znajdowało się dwadzieścia pięć lub trzydzieści koni, a dookoła stało kilkanaście wozów, ich puste dyszle leżały na ziemi, a końskie uprzęże wisiały na sprężynowych siedzeniach. Woodbine przeczesał całą okolicę, by znaleźć wystarczającą liczbę wozów i zaprzęgów oraz ludzi gotowych nimi powozić, w obliczu spodziewanego oporu przeciwko przewozowi drutu, kiedy nadejdzie jego dostawa.

— Ciekawe, kiedy wreszcie to przywiozą? — zapytał przez ramię.

— Teraz, to już w każdej chwili. Dzwoniłem do Kiowa i lokomotywa już stamtąd odjechała.

Woodbine wyszedł i udał się zakurzonym chodnikiem w stronę baru Rattlesnake, mieszczącego się za najbliższą przecznicą. Zbliżając się do rogu ulicy, koło banku Drovera, zauważył trzech ludzi biegnących pustą poprzeczną drogą, w kierunku stacji kolejowej i skierował wzrok w ich stronę.

Zobaczył krąg zgromadzonych ludzi, przyciągniętych zapachem kłopotów, tak jak sępy ściągane są przez zbliżającą się śmierć cielęcia. Ruszył w ich kierunku.

Gdy zbliżył się do zebranych ludzi usłyszał drwiący głos, nawołujący:

— Przyłóż mu solidnie, Blocker, sam się o to prosił. Przeczołgaj go po całej ulicy.

Woodbine rozepchnął ramionami dziurę w tłumie i przedostał się na otwartą wewnętrzną przestrzeń kręgu, gdzie zobaczył Blockera, jednego z woźniców, których wynajął. Blocker stał na szeroko rozstawionych nogach,

obrócony do góry dnem kapelusz leżał u jego stóp w piachu, włosy miał potargane, plecy przepoconej koszuli i siedzenie kombinezonu, wybrudzone od pyłu. Z nosa i kącika ust ciekła mu strużka krwi.

Przed nim stał Moody Shay, który mieszkał dalej nad Pecan Creek i często pracował dla Frya. Moody miał umysł lisa w ciele gigantycznego niedźwiedzia grizzly, a teraz, już wcześniej uderzywszy nieuzbrojonego Blockera, zwykłego robotnika, młodego chłopca wkopującego słupki ogrodzeniowe, stał z tyłu i odpinał pas z rewolwerami, z chytrym, głodnym uśmiechem na twarzy.

Podał broń i pas stojącemu obok siebie człowiekowi i zaczął powoli podwijać rękawy, nie spiesząc się, aby móc rozkoszować się każdą chwilą swojego łapczywego oczekiwania.

— A więc — stwierdził drwiąco — nazwałeś mnie kłamcą w obecności moich przyjaciół.

— Nie nazwałem pana kłamcą — odparł młodzieniec gorąco, a jednocześnie z widocznym strachem. — Po prostu szedłem, pilnując swoich spraw.

Moody uśmiechnął się do otaczającego go tłumu.

— Znowu nazwał mnie kłamcą. Mówi, że skłamałem, kiedy powiedziałem, że nazwał mnie kłamcą. Tak więc, to już drugi raz, a ja nie mogę stać z boku i patrzeć, jak ktoś nazywa mnie kłamcą za każdym razem, gdy otwieram usta, prawda?

— Przede wszystkim, nie nazwałem pana kłamcą. Nie zachowywałem się nieprzyjaźnie względem ludzi pana Frya, tylko próbowałem zarobić dniówkę, przewożąc ładunek dla pana Woodbine’a.

— Zgadza się, tak właśnie zrobiłeś. Ale to jest to samo, co nazywanie mnie kłamcą, ponieważ powiedziałem ci, że jeśli przewieziesz ten ładunek będzie to nieprzyjazne zachowanie względem mnie i Noble'a. Drut kolczasty! Przewozisz drut kolczasty dla Woodbine’a i mówisz, że jestem kłamcą, bo nazwałem to nieprzyjaznym czynem. No cóż, przyjacielu, nie możesz ciągle nazywać mnie kłamcą w taki sposób. Mój szacunek do siebie samego na to nie pozwala, i teraz zamierzam wypruć ci bebechy. Zedrę z ciebie skórę paznokciami i zarzucę ją na płot z drutu kolczastego, żeby wyschła. Zedrę z twojego chudego szkieletu całe ciało i będę gonić po ulicy twoje gołe kości, a potem wyrwę ci te kości jedną po drugiej i rzucę je psom na pożarcie. A potem możesz nazwać mnie kłamcą po raz kolejny.

Chłopak ze wzgórz toczył walkę z samym sobą. Było dla niego jasne, tak samo, jak dla zebranych tu gapiów, że czeka go brutalne bicie, a instynkt podpowiadał mu, aby się wycofać i spróbować ocalić skórę. Ale wrodzona duma młodzieńca powstrzymywała go przed tym, a konflikt między tymi dwoma pragnieniami sprawił, że jego twarz stała się szara, a język suchy.

Moody'ego bawił efekt, jaki wywarł na młodym człowieku i przyglądał się Blockerowi z rozbawieniem i satysfakcją, dając tłumowi czas, by to docenił. Nie śpieszył się z rozpoczęciem jatki, ale bawiąc się jak kot z myszą, chciał wycisnąć z tej sceny ostatnią kroplę przyjemności, zarówno

z tego powodu, że lubił takie rzeczy, jak i dlatego, że miało to wpływ na tłum.

Woodbine odwrócił wzrok i omiótł tłum gapiów krytycznym spojrzeniem; na ich twarzach również dostrzegł okrutne wyczekiwanie. To dziwne, zauważył, ponieważ byli to zwykli, normalni ludzie, niektórzy pochodzący z miasta, inni ze wsi. Byli to ludzie, którzy zajmowali się swoją codzienną pracą i mieli swoje codzienne radości, i indywidualnie rzecz biorąc nie byli ani lepsi, ani gorsi od innych ludzi. Teraz jednak nie byli już jednostkami, odpowiedzieli na atawistyczną, tkwiącą w człowieku potrzebę gromadzenia się w stada, jak wilki. A kiedy ludzie są w stadzie, czuć od nich wilczy zapach, zaś ich podstawowym pragnieniem jest żądza krwi. I chociaż nie było wśród nich ani jednego człowieka, który osobiście żywiłby jakieś cieplejsze uczucia do brutalnego Moody'ego Shaya, o którym wszyscy wiedzieli, że ma historię przepełnioną ciemnymi kartami, był on teraz przywódcą stada, kimś kto był w stanie zaspokoić ich żądzę krwi, ponieważ tacy właśnie są ludzie.

Pod powierzchnią tej ulicznej bójki, kryły się tego rodzaju rzeczy i Woodbine wyraźnie je widział, choć tłum ich nie dostrzegał. Wiedział, że dostrzega je także Shay, ponieważ pomimo swego paskudnego charakteru, Shay miał w sobie silny zmysł zwierzęcego sprytu i instynktowną wiedzę o siłach, które kotłowały się wokół niego, skryte pod powierzchnią rzeczywistości. To czyniło go jeszcze bardziej niebezpiecznym człowiekiem. Shay, wiedząc, że ci ludzie nim gardzą, czerpał swego rodzaju rozbawioną satysfakcję z tego, że czekali na zaspokojenie przez niego swych zwierzęcych instynktów, jednocześnie nienawidząc go za to. Shay wiedział, że ci ludzie pragną, by ten młody człowiek ze wzgórz, stłukł go na miazgę, lecz wiedział również, tak samo jak i oni, że ich nadzieje nie mają szans się spełnić.

Woodbine przepchnął się przez ludzki krąg w miejscu, w którym znajdował się poza zasięgiem wzroku Shaya, ale stopniowo oczy tłumu skupiły się na Woodbine'ie i odczytały znaczenie jego nieoczekiwanej obecności, więc wszyscy przenieśli na niego swoją uwagę.

Shay, widząc to, odwrócił się i po raz pierwszy dostrzegł Woodbine'a. Woodbine stał na skraju kręgu, ręce miał skrzyżowane na przedzie koszuli, zaś jego dłoń znajdowała się w znacznej odległości od broni.

Twarz Shaya przeszła metamorfozę, a wyczekujący uśmiech zniknął z jego oblicza wraz z błyskiem światła. Przestał podwijać rękawy, zaś ręce opadły mu po bokach, podczas gdy uważnie przyglądał się Woodbine'owi, kalkulując, jakie zmiany w okolicznościach przyniosło ze sobą jego pojawienie się. Shay zastanawiał się, jaki obrót spraw musi przynieść ta nagła zmiana. Kiedy obaj mężczyźni stanęli naprzeciw siebie, w tłumie zapadła nerwowa cisza.

Woodbine powiedział spokojnie:

— Witaj, Blocker. Jak tam sprawy?

Po czym odwrócił się i powiedział:

— Jak się masz, Shay?

Moody skorzystał z okazji, by zyskać chwilę czasu do namysłu, a jego twarz wykrzywiła się w uśmiechu.

— A jak ty się masz, Jim? Dawno się nie widzieliśmy.

Woodbine odparł spokojnie, jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem Shaya.

— Rzeczywiście, ostatnio nie bywam zbyt często w mieście. Byłem zajęty, jeździłem tu i tam w okolicach Pecan Creek. Powinieneś się tam kiedyś wybrać. Dobre miejsce na polowanie.

Usta Moody'ego Shaya były dostrzegalnie otwarte, a jego grube wargi rozluźniły się, gdy przyglądał się Woodbine'owi. Odebrał te słowa, przeanalizował je w myślach i wiedział, że Jim Woodbine coś mu przez nie chce powiedzieć, ostrzega go. Wiedział także, że będzie musiał poświęcić więcej czasu na przemyślenie tego ostrzeżenia, zanim będzie wiedział, co z nim zrobić.

— Tak — powiedział cicho. — Może kiedyś wezmę broń i pojadę w tamtą stronę.

— Lubisz sobie w tak postrzelać, co?

Shay utrzymał swobodny uśmiech na twarzy, podczas gdy w jego oczach widać było, że próbuje odczytać znaczenie tych słów.

— Pewnie. Lubię sobie postrzelać wszędzie tam, gdzie jest coś do czego można strzelać.

Woodbine nie skomentował tego ostatniego stwierdzenia i tłum poruszył się niespokojnie. Ludzie wyczuwali, że coś kryje się za tymi słowami i denerwowało ich to, że nie potrafili zrozumieć, o co chodzi. Próbowali wyczytać to z twarzy Moody'ego i próbowali wyczytać to z twarzy Jima Woodbine'a, lecz to, co byli w stanie dostrzec, nic im nie mówiło i sprawiało tylko, że zaczynali czuć zniecierpliwienie. Czekali, aby usłyszeć coś więcej, by usłyszeć dalsze słowa, które mogliby przeanalizować, zobaczyć, co się za nimi kryje. Lecz Woodbine zostawił ich na lodzie, bo nie kontynuował dłużej tego tematu.

Spoglądali więc na Moody'ego Shaya, wiedząc, że Woodbine rzucił mu to prosto w twarz i chcieli zobaczyć, co on z tym zrobi. Następny ruch należał do niego, i wszyscy przebierali nogami oraz czekali.

Moody widział co się dzieje i zdawał sobie sprawę z tego, że nadszedł czas na jego ruch. Jego spojrzenie powędrowało od Woodbine'a do zebranego tłumu i dalej do Blockera, który czekał, by zobaczyć, jak długo potrwa zawieszenie jego sytuacji. Blocker stał przed Moodym, i tamten w każdej chwili mógł wznowić rozpoczęte starcie. Tłum czekał, aby zobaczyć, czy Moody to zrobi, i gdyby nie ustąpił, dodałoby mu to znacznie prestiżu. Pod warunkiem, że uda mu się pokonać przeszkodę w postaci tajemniczych słów Woodbine'a.

Rozważył te rzeczy, po czym obojętnie wzruszył ramionami. Zaśmiał się lekko.

— No cóż, to na razie, Woodbine.

Odwrócił się, wziął broń od człowieka, który mu ją trzymał, przez chwilę zapinał pas na biodrach, po czym przepchnął się przez tłum i ruszył w stronę Parisian Bar.

Powietrze uszło z połączonych płuc całego tłumu jednym wielkim sapnięciem, jak z padliny, która zbyt długo leżała na słońcu, i ktoś głośno stwierdził:

— Cóż, niech mnie diabli. Nigdy nie sądziłem, że dożyję dnia, w którym ktoś pokona Moody'ego Shaya nawet nie zaciskając pięści.

Tłum zaczął się rozpływać jak gruda śniegu na deszczu, a jakiś człowiek odpowiadający drugiemu, powiedział, kiedy się rozchodzili.

— On nie pobił Moody'ego. Ktoś w tym towarzystwie jest podszyty tchórzem. Tylko rozmawiali nad naszymi głowami, a Woodbine w jakiś sposób zagroził Moody’emu, może czymś, co o nim wiedział. Moody to zrozumiał i bał się dalej zaczepiać Blockera. Ciekawe, co to mogło być?

— Myślisz, że o to chodzi?

— Z pewnością tak. W tej okolicy nie ma człowieka, który byłby w stanie przeciwstawić się Shayowi w walce na pięści, a Shay nie boi się niczego, co chodzi na dwóch nogach. Nie, Woodbine dał mu coś do zrozumienia, więc uznał, że lepiej poczekać i zastanowić się, zanim cokolwiek zrobi. Mówię ci na pewno, że to jeszcze nie koniec.

— Chyba chciałbym zobaczyć tę walkę.

— A ja bym nie chciał. Shay załatwiłby tego dzieciaka w brutalny sposób. W środku jest okrutny do szpiku kości.

— Myślę, że masz rację. Chyba to nie było nic, z czego moglibyśmy być dumni, gdybyśmy stali i przyglądali się, jak mężczyzna dwa razy większy i dwa razy bardziej wredny, wypruwa z dzieciaka flaki. Mimo wszystko...

— Jeszcze zobaczymy tę walkę — obiecał ten drugi. — Takiej sprawy nie można pozostawić w zawieszeniu.

— Może i nie. Przypuśćmy, że Woodbine sprowadzi ten drut, tak jak mówi. Nie to, żeby było prawdopodobne, iż pokona Noble'a Frya, ale jeśli jednak mu się postawi, to wątpię, czy Fry pozostawi z niego wystarczająco dużo, aby Shay miał w co wbić zęby.

Rozdział 2

Noble Fry

Woodbine i młody Blocker ruszyli w kierunku baru Rattlesnake. Woodbine powiedział do młodego podwładnego:

— Mówiłem wam przecież, żebyście trzymali się razem i nie chodzili bez broni. Gra, w którą gramy, to nie jest zabawa. Jak to się stało, że odłączyłeś się od grupy?

— Jadąc tutaj wczoraj w nocy, zerwałem pasek od chomąta i musiałem pojechać po nowy. Trzeba było naprawić chomąto i założyć od nowa całą uprząż. Shay jechał sam do miasta i zobaczył mnie kiedy wracałem, więc zaraz jak tylko uwiązał swojego konia, zaczaił się na mnie i dopadł mnie gdy szedłem z powrotem do wszystkich.

— Gdzie twoja broń?

— Zostawiłem ją w wozie.

— Mówiłem wam, żeby nikt nie złapał was bez niej.

— Pomyślałem, że jeśli Shay mnie zaatakuje, a ja będę miał przy sobie broń, to z pewnością mnie zabije. Nie pokonam przecież regularnego rewolwerowca. Więc ją zdjąłem. Bez broni nie mógł mnie zastrzelić, a ja wolałem oberwać od niego pięściami niż zostać zastrzelonym.

— Masz więcej rozumu, niż myślałem — przyznał Woodbine, gdy skręcili do Rattlesnake.

W środku byli jego ludzie, piętnastu do dwudziestu kowbojów, woźniców i farmerów, którzy pozwolili, by wysoki zarobek oferowany przez Woodbine'a przezwyciężył ich wątpliwości co do możliwości pokonania przez Woodbine'a, Noble'a Frya. Wszyscy nosili przy sobie broń.

Woodbine podszedł i dołączył do Boba Burnhama na końcu baru. Bob był człowiekiem po sześćdziesiątce, posiwiałym i spokojnym. Był zarządcą starego Abnera Sterlinga, aż do śmierci Aba, i został, aby prowadzić ranczo dla Virginii, twierdząc, że potrzebuje szefa, który będzie miał nad nią ścisły nadzór. Faktem jednak było, że to ona kierowała nim.

Burnham powiedział:

— Fry trzyma swoich ludzi w Parisian. Ma kilku nowych ludzi, którzy wyglądają na dosyć twardych. Prawdopodobnie ze dwudziestu, licząc tych starych i nowych. Myślisz, że powinniśmy to zrobić?

— A znasz lepszy moment?

Burnham wzruszył ramionami.

— Virginia wpadnie w szał, gdy wróci do domu i dowie się, że doszło tutaj do walki.

— Już jest w domu. W hotelu. Co powiesz na wysłanie któregoś z twoich ludzi by sprawdził, czy nie uda mu się zabrać jej na ranczo, zanim to wszystko wybuchnie?

Burnham jęknął.

— Dlaczego ty tego nie zrobisz? Wiesz, że jeśli tylko wyczuje co się dzieje, zjawi się tu u nas i powyrywa nam kłaki z głów, z cebulkami. — Podniósł kapelusz i przeczesał łysinę. — Jeśli ona tu będzie, nie ruszymy nawet szpuli tego drutu, dopóki Fry się temu sprzeciwia. Ona jest absolutnie przeciwna wszelkim kłopotom. Wyciągnąłem ją z miasta na dostatecznie długi czas, by mogli nam dowieźć ten drut, ale nie udało ci się sprowadzić go tutaj na czas, więc teraz to wszystko spada na twoją głowę.

— W takim razie może po prostu usiądzie sobie na krześle i będzie patrzeć, jak go rozładowujemy — powiedział spokojnie Woodbine. — Zainwestowała w niego prawie tyle samo pieniędzy, co ja, a ja nie pozwolę, by stał na bocznicy i rdzewiał.

— Może nas powstrzymać przed ogrodzeniem jej ziemi.

— Jasne, jeśli nie uda ci się jej przekonać, że to jest coś słusznego.

— Byłoby to moje słowo przeciwko słowu Frya, a ona pokłada w nim dużo wiary.

— Zbyt dużo — przyznał Woodbine. — Gdyby udało nam się sprowadzić ten drut na czas, abyśmy zdążyli ukończyć budowę ogrodzenia, sądzę, że już teraz pokazałby swoje prawdziwe oblicze, a ona zobaczyłaby, jakim jest człowiekiem.

— Ale nie udało się nam — lamentował Burnham, — a teraz wszystko się posypało. Założę się, że nie ogrodzimy nawet akra.

— Ogrodzimy cały mój teren, bez względu na to, co ona powie — odpowiedział Woodbine.

— Jeśli Noble Fry nam na to pozwoli — uśmiechnął się Bob Burnham. — Już raz zabrał na ten temat publicznie głos i nie może sobie pozwolić na to, by nie poprzeć swoich słów czynem.

— W takim razie — zauważył Woodbine — równie dobrze możemy spróbować ogrodzić wszystko. Niech chłopcy biorą się do roboty.

Zawołał do swojego zarządcy stojącego na drugim końcu baru.

— Jess, twoi chłopcy gotowi do pracy?

Jess Hardracker był w nieco młodszym wieku niż średni, był również trochę nienaturalnie przygarbiony i miał krzywe nogi, zaś pod dużym nosem nosił długie, żałobne wąsiska. Jego ruchy i gesty sprawiały wrażenie, że życie nie jest warte wysiłku, jaki człowiek musi w nie włożyć. Lecz, jakby akceptując werdykt, że życie nie może służyć żadnemu użytecznemu celowi, podchodził do niego z równie silnym przekonaniem, że nie ma nic, co dałoby się zrobić, aby temu zaradzić, tak więc robił wszystko, co miał do zrobienia w bardzo satysfakcjonujący sposób.

Jess starł pianę z piwa ze swojej ukochanej pary wąsów i podszedł do Woodbine'a i Burnhama.

— Taa. Mamy dostateczną liczbę ludzi, by rozładować wagon przy rampie i wystarczająco dużo wozów, aby przewieźć wszystko na miejsce, w dwóch kursach na wóz - to znaczy, jeśli ta banda wytrzyma. Nie są zbyt

zadowoleni z tego, co planuje zrobić Fry. Próbują wmówić sobie, że w ogóle się nie pojawi, albo że tylko blefował.

— Fry nie blefuje — odparł Woodbine. — Powiedział mi wyraźnie, że nie pozwoli mi rozładować tego drutu, a słyszało go przy tym kilkanaście osób. Po prostu nie może sobie pozwolić na to, aby mnie nie powstrzymać.

— Obawiałem się tego — wyjęczał Jess. — No cóż… — urwał w pół słowa, podobnie jak każdy człowiek w pomieszczeniu.

Znajomy gwizd lokomotywy wypełnił pomieszczenie i uderzył w uszy ludzi, tak jak robił to już od lat, raz w tygodniu, kiedy dolatywał spoza zakrętu na końcu Pinetop Mountain. Tym razem jednak pociąg wiózł nie tylko pocztę i towary dla Roberson's Trading Store. Każde stęknięcie starej maszyny cztery-na-sześć przybliżało do Ashfork wojnę.

Spojrzenie Woodbine'a powędrowało wzdłuż baru, badając twarze, oceniając ludzi, których miał do pomocy, a to, co ujrzał, nie było uspokajające. Byli to pracownicy leśni, farmerzy, paru jeźdźców z kilku zaprzyjaźnionych rancz i jego własna niewielka ekipa jeźdźców.

Nie było wśród nich ani jednego zawodowego rewolwerowca. Prawdopodobnie żaden z nich nigdy w życiu nie patrzył na człowieka przez przyrządy celownicze swego rewolweru i pewnie wszyscy mieli nadzieję, że nigdy nie będą musieli tego robić, wiedząc, że nie poradziliby sobie zbyt dobrze w tego rodzaju sytuacji. Większość z nich dała się namówić na tę całą imprezę, wierząc, że do starcia nie dojdzie.

Teraz wiedzieli już więcej.

— No, chłopcy, wypijcie jeszcze po drinku i idźcie zaprzęgać wozy — oznajmił wesoło Woodbine. — Mniej więcej sześciu z was na raz, może pomagać pozostałym wyładowując drut z wagonu.

Ludzie dokończyli swoje drinki pośpiesznie, łapczywie, jakby obawiali się, że mogą to być ich ostatnie drinki w życiu. Woodbine przypomniał im:

— Każdy, kto wolałby tego raczej nie kontynuować, może zrezygnować teraz, zanim udamy się do wagonu.

Ale żaden z nich nie chciał wycofać się z tego, do czego się zobowiązał.

Gdy ludzie wyszli, Woodbine odwrócił się do Burnhama.

— Spróbujesz zająć się Virginią?

Burnham nerwowo otarł usta.

— Słuchaj, Jim, wiesz, że ona potrafi przechytrzyć mnie we wszystkim. Wolę już stawić czoła rewolwerowcom Noble'a. Dlaczego ty się z nią nie rozmówisz?

Woodbine uśmiechnął się smutno.

— Pewnie wcale nie poszłoby mi lepiej. Zapomnijmy o tym, może będzie trzymała się z daleka.

— Lepiej na to nie licz — zapewnił go Burnham. — Gotowy?

Wyszli z saloonu za swoimi pracownikami. Ludzie szli zgrupowani blisko siebie, jakby wzajemnie się chroniąc, i rzucali nerwowe spojrzenia w stronę Parisian Bar, gdzie zebrali się ludzie Frya. W oknach Parisian widać było dwie twarze, twarze ludzi informujących o ruchach przeciwnika, pozostałych kolegów, którzy byli w środku. Lecz żaden z ludzi Frya nie wyszedł. Grupa Woodbine'a skręciła za róg i skierowała się na stację,

gdzie parowóz ciągnący wagon towarowy i pustą węglarkę już zwalniał biegu.

Na stacji ludzie rozeszli się do swoich wozów i zaprzęgli do nich konie. Burnham zerwał plombę na wagonie towarowym, a Woodbine podszedł do pustej węglarki na opał i zajrzał do niej, podczas gdy lokomotywa odjechała kawałek dalej. Załoga pociągu z Kiowa musiała wiedzieć, że coś ma się wydarzyć, ponieważ lokomotywa zatrzymała się w pewnej odległości i stała tam, nawet po tym, jak Woodbine podpisał list przewozowy dla dostarczonego wagonu. Maszynista wrócił do kabiny lokomotywy i wszyscy czekali w środku, jakby mając nadzieję, że uda im się coś zobaczyć.

Burnham zauważył to i powiedział do Woodbine'a:

— No cóż, mają czym uciec, gdy zaczną się kłopoty. Być może będziemy musieli się z nimi zabrać.

Woodbine i Burnham wspólnie odsunęli duże przesuwane drzwi wagonu, odsłaniając ładunek błyszczących szpul drutu kolczastego. Pierwszy wóz podjechał bliżej i ustawił się obok wagonu. Woodbine zawołał sześciu ludzi, którzy założyli skórzane rękawice, wspięli się do wagonu z drutem kolczastym i wyrzucili na zewnątrz podpory szpul. Rewolwery klaskały im po biodrach. Gdy pozostali ludzie przygotowali swoje zaprzęgi, podjechali i stanęli przy otwartych drzwiach wagonu, podczas gdy ci w środku zaczęli podawać do pierwszego wozu szpule z drutem.

Wóz był w połowie załadowany, kiedy Woodbine zarządził przerwę.

— Zbliżają się, panowie — oznajmił spokojnie. — Wy tam, w wagonie, zdejmijcie rękawice. Nie dacie rady posługiwać się bronią, w grubych rękawicach.

Wśród ludzi zapanowało poruszenie, gdy rozkładali się wzdłuż boku wagonu.

Woodbine ostrzegł ich:

— Niech nikt z was nie wpadnie w panikę i nie pociągnie jako pierwszy za spust. Poczekamy i zobaczymy, co Fry ma do powiedzenia. Może w ogóle nie dojdzie do strzelaniny, a wy nie strzelajcie, dopóki sami nie zostaniecie ostrzelani.

Woodbine zeskoczył z wagonu i wyszedł naprzeciw zbliżającej się grupy. Wszyscy byli konno, poruszali się spokojnym tempem - na czele kolumny jeźdźców, liczącej około dwudziestu ludzi jechał Noble Fry. Woodbine stał i czekał, aż podjadą.

Jakieś sto stóp od wagonu kolumna zatrzymała się, a Fry podjechał bliżej, aż znalazł się w odległości dziesięciu kroków od Woodbine'a, po czym zatrzymał konia. Fry był wielkim mężczyzną, jechał na dużym koniu. Jego twarz była czysta, różowa i dobrze odżywiona, miał na sobie cienkie bryczesy do jazdy konnej i rozpiętą pod szyją opaloną koszulę. Włosy, pod nieskazitelnie białym Stetsonem, miał czarne jak noc, a oczy duże i ciemnoniebieskie, osadzone pod ciężkimi, czarnymi brwiami. Był chłodny i poruszał się niespiesznie, zaś widoczna w jego zachowaniu pewność siebie, sugerowała że jest twardy jak granit. Woodbine przyjrzał mu się uważnie i ponownie zauważył, tak jak często widział to wcześniej, że ten

człowiek nie zna strachu, ani nie wie, jak zawrócić z drogi do raz obranego celu.

Fry przyjrzał się niewielkiej grupie ludzi Woodbine'a i słusznie ocenił, że nie stanowią dla niego większego zagrożenia. Zadowolony, że jego ludzie bardziej niż dorównywali im, odwrócił się z powrotem do Woodbine'a.

— Nadal jesteś zdeterminowany, by rozpocząć naszą małą wojnę? — zapytał.

— Nie. Nie próbuję wywołać żadnej wojny. Zamierzam tylko ogrodzić moje ranczo.

— Nie ma sensu powtarzać tego, co ci już raz powiedziałem — oznajmił przekonująco Fry. — Drut kolczasty zrujnuje te ziemie, a ja nie zamierzam zostać zrujnowany.

— Już to przerabialiśmy — odpowiedział Woodbine. — Moglibyście zebrać całą potrzebną wam wodę, gdybyście zatamowali wąwozy lub wykopali stawy. Nie mogę pozwolić, abyście mnie zrujnowali, bo ty nie chcesz wydawać pieniędzy na pozyskiwanie wody.

— Dyskutowaliśmy na ten temat już wcześniej. Teraz mówię ci po raz ostatni: nie wyładowuj kolejnej szpuli tego drutu. Jeśli to zrobisz, moi ludzie cię zatrzymają i będziesz odpowiedzialny za śmierć wielu swoich sąsiadów. I tak brzmi moje ostatnie słowo – Woodbine.

Spojrzenie Woodbine'a omiotło ludzi Frya, z Moodym Shayem na czele.

— Wygląda na to, że masz całą gromadę nowych ludzi — zauważył łagodnie. — Określiłbym ich jako rewolwerowców.

Fry uśmiechnął się.

— Dobrze ich nazwałeś — powiedział. — Prosiłeś się o wojnę, więc obrałem mądry kurs i sprowadziłem pół tuzina chłopaków, którzy wiedzą co nieco o wojnie. W tych okolicznościach nie możesz mnie chyba za to winić, nieprawdaż?

— Nie — przyznał Woodbine. — Ale zanim rzucisz ich do akcji, sugerowałbym, żebyś spojrzał na moje rezerwy. — Odwrócił się i krzyknął do pozornie pustej węglarki. — W porządku, chłopcy. Ten dżentelmen chce się wam przyjrzeć.

Wzrok Noble'a Frya skierował się na węglarkę, a jego twarz stężała.

Na okrzyk Woodbine'a dziesięciu ludzi podniosło się zza stalowej osłony węglarki, a dziesięć twardych twarzy wyjrzało ponad jej krawędzią. Każdy z ludzi w wagonie spoglądał na Noble'a Frya zza celownika karabinu Winchester, a każdy z dziesięciu karabinów był wycelowany prosto w serce Noble'a Frya.

— Teraz — stwierdził spokojnie Woodbine, — teraz, kiedy się już rozumiemy, możesz rozpuścić swoje pieski, kiedy ci to będzie odpowiadało. — Odwrócił się do Frya plecami i powiedział: — W porządku, chłopcy, kontynuujcie rozładunek.

Woodbine stał odwrócony plecami do Frya na tyle długo, by zobaczyć, jak jego ludzie zaczynają wracać do pracy - i na tyle długo, by dać Fryowi czas na pogodzenie się z impasem. Następnie odwrócił się do tego człowieka i obserwował go.

Dostrzegł szok, który wciąż paraliżował przystojną twarz Frya, na której widać było całą siłę jego żądzy dominacji. Woodbine podejrzewał, że temu człowiekowi wiele w życiu uchodziło na sucho dzięki dominującej posturze i sposobowi zachowania, i być może nigdy nie został poważnie osadzony w miejscu. A teraz, powstrzymany przez pogardliwy sprzeciw, na oczach swoich ludzi, czuł się oszołomiony, ponieważ nie spodziewał się takiego rozwoju sytuacji. Był w stanie tylko wpatrywać się w Woodbine'a bez słowa.

Ludzie za Frya zauważyli, że w jego planach coś się poważnie zacięło, i po chwili Moody Shay pchnął konia, podjeżdżając obok Frya. Popatrzył na rząd karabinów w wagonie z węglem, a potem na Frya.

— Co ty na to? — zapytał. — Powstrzymujemy ich czy nie?

Fry jednak nie odpowiadał, i Woodbine uśmiechnął się chłodno do Moody'ego Shaya.

— Jeszcze nie zdecydował, czy chce dzisiaj umrzeć, czy nie. Daj mu chwilę na podjęcie decyzji.

Na oczach Woodbine'a Fry zmienił się w zupełnie innego człowieka. Znaczna część jego zuchwałości zniknęła i nigdy więcej nie byłby w stanie jej użyć, przeciwko komukolwiek, który mógłby go pokonać. Zmarł dominujący arogant, ale narodził się ktoś jeszcze bardziej niebezpieczny, ktoś kto wykorzysta cały swój sprawny umysł i spryt, a nawet okrucieństwo, aby osiągnąć swój cel. Noble Fry był bowiem człowiekiem o nienasyconej ambicji, a ambicja ta nie umarła wraz ze śmiercią błazna, lecz żyła i rosła w siłę w człowieku, który powstał z popiołów jego upokorzenia.

Noble Fry odwrócił się i bez słowa odjechał w kierunku miasta. Jego ludzie spoglądali ze zdumieniem, jak ich przywódca upada na ich oczach, zawrócili więc również i podążyli za nim z twarzami pełnymi pogardy wobec niego. Wkrótce jednak miało się to zmienić.

Bob Burnham podszedł i dołączył do Woodbine'a, który stał w piasku, i obaj patrzyli, aż Fry i jego ludzie zniknęli z pola widzenia, za rogiem budynku. Burnham pokręcił głową ze zdziwieniem.

— Skąd wziąłeś tych rewolwerowców? — spytał, patrząc, jak mężczyźni gramolą się z węglarki.

— Pojechałem wczoraj do Kiowa i wynająłem ich.

— Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałeś?

— Miałem sprawić, żeby to się rozeszło, pozwalając Fryowi by mógł się przygotować? Chciałem go zaskoczyć i wytrącić z równowagi. Udało się.

— Nigdy się nie spodziewałem, że dożyję chwili, kiedy ten człowiek będzie musiał wycofać się ze swego blefu.

— A czy kiedyś widziałeś, żeby ktokolwiek próbował zmusić go do wycofania z czegokolwiek?

— Jak się nad tym zastanowić, to nie.

— Problem z nim polegał na tym, że Fry był stworzeniem ulepionym z przyzwyczajeń. Był przyzwyczajony do tego, że ludzie będą mu ustępować, więc nie był przygotowany do działania, gdy jakiś człowiek tego nie zrobi.

— W każdym razie — zauważył Burnham, wycierając głowę zdjętą spod szyi chustą — cieszę się, że tak łatwo go pokonaliśmy.

— Wcale tego nie zrobiliśmy — odparł Woodbine. — Sprawiliśmy tylko, że stał się jeszcze bardziej niebezpieczny.

— Jak to?

— To człowiek o wielkiej dumie. Zrobiliśmy z niego głupca, a on nie jest osobą, która byłaby w stanie to znieść. Będzie rozmyślał nad tym co się stało, będzie to trawiło jego siły witalne i zatruje go od środka, ponieważ dzisiejszy dzień pokazał mu, że jest zdolny do strachu. Nie sądzę, by wcześniej zdawał sobie z tego sprawę. Ale teraz już to wie i wiedząc o tym, będzie musiał działać inaczej. Jego duma będzie wymagała, by mnie zniszczyć, a strach sprawi, że spróbuje zrobić to w jakiś podstępny sposób. Nie, Bob, on wcale nie jest pokonany. Teraz stał się jeszcze bardziej niebezpiecznym człowiekiem niż wtedy, kiedy tu przyjechał.

Rozdział 3

Słomki na wietrze

Wiosenny zmierzch zapadł nad ranczem Woodbine'a, sprowadzając ze sobą chłodną bryzę znad wzgórz. Nie było już żadnych dalszych prób powstrzymania rozładunku i, w chwili obecnej, szpule z drutem kolczastym leżały rozrzucone w grupach po trzy, co ćwierć mili, wzdłuż drogi przed frontem rancza. Woodbine i jego ludzie przez całą zimę cięli słupki z krzewów żółtnicy i już znacznie wcześniej zostały one porozkładane co trzy kroki wzdłuż frontu jego posiadłości.

Dziesięciu sprowadzonych rewolwerowców dołączyło do jego pięciu jeźdźców w baraku dla kowbojów, a z komina kuchni unosiła się i leniwie odpływała w dal, smuga dymu. Był to obraz, który do tej pory zawsze przynosił Woodbine'owi spokój i odprężenie, lecz obecnie panująca cisza miała na niego zupełnie inny wpływ. Była złowieszcza, przesiąknięta ogólnym napięciem, jakby samo powietrze prężyło się w gotowości, czekając na jakiś wybuch.

Na drodze, po zachodniej stronie, pojawił się tuman kurzu i powoli przesuwał się w jego stronę. Po chwili podjechał do niego i zsiadł z siodła Bob Burnham. Razem z Woodbinem przeszli na werandę, by usiąść, a starszy mężczyzna przetarł chustą z szyi zaczerwienione czoło, zanim się odezwał.

— Virginia jest na wojennej ścieżce — powiedział nagle. — Noble przekonał ją, że drut kolczasty oznacza rozlew krwi. Oznajmiła, że nie postawi ogrodzenia, dopóki cała społeczność się na to nie zgodzi. Noble obiecał jej, że zgodzi się na ogrodzenie, jeśli większość ranczerów powie, że im to odpowiada.

— Co oznacza, że ma za sobą większość, która stara się utrzymać drut z dala od tych terenów.

— Pewnie, przecież Noble wie, co robi. Ale przekonał ją, że to nie on sprawia kłopoty. Nie potrafię tego zrozumieć, jak dziewczyna, która ma tyle rozumu w głowie co ona, daje się nabrać na to, co jej wciska. Jest ślepa jak nietoperz, gdy on zaczyna tokować.

— Zaślepia ją jego błyskotliwość — domyślał się Woodbine. — Zawsze podziwiała ambicję ludzi.

— W każdym bądź razie, kiedy zgodziła się pójść z wolą większości, Noble rozesłał jeźdźców, aby zebrali wszystkich ranczerów na spotkanie w jej domu dziś wieczorem. Kazała mi cię powiadomić. Jedziesz?

Woodbine odparł:

— Jasne, ale znasz już odpowiedź. Wszyscy, którzy nie mieszkają przy samym korycie potoku, będą przeciwko nam, a więc Fry ma większość.

— Wiem, ale co zrobimy, jeśli większość powie, że ziemie mają pozostać otwarte?

— Ja zamierzam się ogrodzić, tak jak zacząłem to już robić.

Burnham pokręcił głową.

— Wiedziałem, że tak powiesz. — Wstał i popatrzył ponad morzem traw. — Oczywiście nas Virginia odwołała, więc to tyle, jeśli chodzi o nasz udział. To znaczy, jako jej pracowników. Ale wiesz, co czuję osobiście.

— Wiem — zgodził się Woodbine. — Z niechęcią myślę o tym, że cię tracę, ale wiem, jak to jest. To nic osobistego, Bob.

Burnham kopnął ziemię w geście zniecierpliwienia.

— Cholera, Jim, człowiek ma prawo ogrodzić swoją własność, jeśli tego chce, a Noble wie o tym równie dobrze, jak wszyscy inni. Rozpoczyna wojnę dla obrony własnej kieszeni i dumy, a komuś stanie się przez to krzywda. Virginia powinna stać z tobą w jednym szeregu, zamiast pozwalać Noble'owi robić z siebie idiotkę. Czuję się jak ostatni skunks. Nie wiem, co się stało z mózgiem tej dziewczyny.

— Daj sobie z tym spokój — powiedział Woodbine. — Ona to zrozumie.

— Może. A wtedy może być już za późno. Jedziesz?

— Myślę, że najpierw pojadę do Churchilla. Chciałbym porozmawiać ze starym Enosem. Będę potrzebował wszelkiej możliwej pomocy. Przyjadę później.

* * * *

Gospodarstwo Churchilla położone było po drugiej stronie potoku na południe od rancza „Circle W." Woodbine'a, i Woodbine przejechał przez potok i ruszył szlakiem do domu starszego człowieka.

Na skraju lasu, po przekroczeniu potoku, zobaczył pędzącą w jego kierunku postać na koniu i chociaż nie był tego pewien, miał wrażenie, że widział drugiego jeźdźca, znikającego w lesie. Światło było kiepskie, ale miał wrażenie, że człowiekiem, który tak szybko zniknął mu z oczu, był Hugh Ambler, niewielki ranczer z posiadłością znajdującą się kilka mil w górę potoku, po tej samej stronie, co pastwiska Churchilla.

Gdy jechał dalej, zbliżająca się postać pomachała do niego ręką, i po kilku chwilach do jego boku podjechała Amy Churchill.

— Witaj, sąsiedzie — przywitała go. — Coś ostatnio rzadko bywasz w tych stronach. Już mnie kusiło, żeby podkraść któreś z twoich cieląt, tylko po to, żebyś tu go szukał. Jak leci?

Głos dziewczyny brzmiał swobodnie i żartobliwie, lecz Woodbine zastanowił się przez chwilę, nad jej słowami. Były trochę zbyt swobodne. Siedziała na koniu, młoda i prosta jak Indianin, jej włosy lśniły czernią, a przezroczysta skóra miała odcień kości słoniowej, którego słońce nie potrafiło zmatowić. Jej oczy były zamglone, tak że światło zapalało w nich błyszczące krzyżyki, jak w gwiaździstym szafirze. Tyle, że ich źrenice były równie czarne jak tęczówki i nie można było w nie głęboko zajrzeć. Zachowywała się swobodnie, lecz była spięta i czujna, a jej

przekomarzania wyglądały tak, jakby mówiła o błahostkach, tylko po to by dać sobie czas na przemyślenie i ubranie osądów w wypowiadane słowa. Woodbine widział to wyraźnie i zastanawiał się nad mężczyzną, z którym przed chwilą się rozstała. Tak więc, on również podobnie jak ona mówił o zwykłych błahych sprawach.

— Pomyślałem, że wpadnę zobaczyć się z twoim tatą — oznajmił spokojnie. — A w każdym bądź razie, co tam u niego?

Dziewczyna uśmiechnęła się dziwnie.

— Zapomniałaś, że widziałaś się z nim wczoraj w mieście? U niego mniej więcej to samo, co wtedy, dzięki.

Kpiła z niego, czytając w jego myślach i dając mu do zrozumienia, że jej nie oszuka. Zawsze taka była, głęboka i bystra, i rozumiała rzeczy na dwa lub trzy ruchy przed tym, zanim jego umysł je przepracował. Była śliczna, i dla niego zawsze była mieszanką nieuchwytności i niemal otwartego zaproszenia do odkrywania najskrytszych zakamarków jej dziwnego serca. Często odczuwał silną tęsknotę do niej, zmieszaną z nieufnością wobec jej zwinnego umysłu, co go zastanawiało. Właśnie doszedł do wniosku, że był typem mężczyzny, który nie lubił zbyt inteligentnych dziewczyn. A ze sposobu, w jaki zachowywała się teraz, wiedział już, że domyśliła się celu jego wizyty i kpiła sobie z niego, że próbował to przed nią ukryć.

Widział, że choć bawiła się jego słowami, to przyglądała mu się jeszcze uważniej niż wtedy, gdy po w pierwszej chwili pojawiła się u jego boku. I nie zamierzał pozwolić, by wyciągnęła z niego jego interesy. Była w tym zbyt dobra.

— Chciałem się z nim spotkać w interesach — oznajmił krótko.

— Tak, wiem — odpowiedziała słodko. — Stał się teraz bardzo popularny. Ma więcej interesów niż przez ostatnie dziesięć lat.

Woodbine uniósł brwi i nie skomentował tego, lecz jego wyraz twarzy był pytający. Ta dziewczyna za bardzo lubiła motać ludzi w ich własne słowa. Niech ona mówi.

Czekała, aż on zada pytanie, lecz kiedy tego nie zrobił, powiedziała z irytacją:

— Tak, wszyscy się starają o jego poparcie. Nawet Noble Fry. To właśnie chciałeś wiedzieć, prawda?

Woodbine musiał się lekko uśmiechnąć.

— No dobrze, Amy, skończmy te przekomarzania. I tak pewnie wszystko o tym wiesz. Gdzie jest Enos?

Amy w zamyśleniu położyła końce wodzy na siodle.

— No dobrze, ty wielki wołu, praktycznie z tuzin razy rzuciłam ci się w ramiona, a ty osadziłeś mnie, jakbym wciąż była dzieckiem. Nigdy nie zrozumiałeś, że dorosłam. Ale teraz chcesz mojej przyjaźni. Chcesz zawrzeć umowę?

— Obawiam się, że nie mam niczego, co by cię zainteresowało.

— Przestań owijać w bawełnę — stwierdziła niecierpliwie. — Masz i dobrze o tym wiesz. Widziałeś mnie przed chwilą z Hugh Amblerem, a wiesz, co tatko myśli o Hugh. Mógłby coś źle zrozumieć, więc czego

chcesz, żeby trzymać gębę na kłódkę w sprawie tego że widziałeś nas razem?

— I co z tego? — Woodbine się uśmiechnął. — Jesteś już dużą dziewczynką. No cóż, sekret należy do ciebie. Nie będę cię tym bił po głowie, po prostu zapomnij, że to widziałem. A gdzie twój tata?

— Przez cały dzień był na łące nad Magee Creek i powinien być już w domu. Noble Fry przyjechał kilka godzin temu i powiedziałem mu, gdzie jest tatko, a on pojechał mu na spotkanie. Prawdopodobnie wszyscy będą na kolacji. Jeśli myślisz, że ty i Noble dacie radę powstrzymać się od strzelaniny przy stole, to chodź i pomóż nam zniszczyć świeży udziec z dziczyzny, który jest w piekarniku.

— Kto był z Fryem?

— Dwóch lub trzech jego chłopaków. Nie pamiętam. Nie pozwolisz chyba, by to powstrzymało cię przed wizytą, co?

Znowu z niego kpiła, wiedząc, że szykują się kłopoty.

— Dlaczego miałbym na to pozwolić?

— No cóż — odpowiedziała spekulacyjnie — myślałam, że może należysz do tych, którzy nie zrobią nic, co mogłoby sprowokować kłopoty.

— Myślałaś, że ucieknę przed nimi?

— Wyglądało na to, że zawsze uciekałeś ode mnie, kiedy próbowałem zaciągnąć cię przed ołtarz, prawda? Pomyślałam sobie, że uważasz mnie za kłopot.

— Nie miałem pojęcia, że próbowałaś zaciągnąć mnie przed ołtarz!

— Nie wmawiaj mi, że jesteś aż taki głupi, Jim — zaśmiała się dziewczyna, lecz w jej śmiechu było coś osobliwego, pomimo tego, że brzmiał na żartobliwy. — No cóż, w końcu, to twój pogrzeb. Jedźmy.

* * * *

Enos Churchill był w tych stronach zasiedziałym człowiekiem, a jego dom był niski, długi i solidny, tak jak on sam. Enos był już stary i pochylony. Włosy miał siwe, a ubrania wisiały na nim luźno, ale roztaczał wokół siebie atmosferę doświadczonej mądrości, która pasowała do ciosanych dębowych belek na suficie jego dużego salonu.

Enos zajął swoje ziemie już wiele lat temu, walczył o ich utrzymanie i zbudowanie wokół siebie bariery akrów oraz murów, ale teraz był już zmęczony i nie było wokół niego żadnej rzeczy, która by go interesowała, z wyjątkiem córki, która urodziła mu się z młodej żony długo po tym, jak skończył pięćdziesiąt lat. Nigdy nie bał się żadnego człowieka i w swoich czasach musiał zabić więcej niż jednego z nich, lecz nigdy świadomie nikomu nie wyrządził niesprawiedliwości, nawet najgorszemu wrogowi.

Kiedy Woodbine wszedł do pokoju, po zostawieniu Amy w długim holu, zobaczył starca siedzącego przy swoim płaskim biurku w rogu salonu. Razem z nim siedzieli Noble Fry, Moody Shay i jeszcze jeden z ludzi Frya, którego nazwiska Woodbine nie znał.

Churchill przywitał go:

— Witaj, Jim. Usiądź.

Churchill widział wiele wojen, w części z nich nawet brał udział, ale teraz był już zmęczonym człowiekiem i pragnął tylko pokoju.

Ściśnięta twarz Woodbine'a zwróciła się ku Fryowi, a jego oczy próbowały wyczytać z twarzy Frya, czy uzyskał przychylną odpowiedź. Uznał, że nie, lecz nie skończył jeszcze prób uzyskania tej odpowiedzi. Odwrócił się i spojrzał na krzepkiego Moody'ego Shaya, a ten polizał świeżo zwiniętego papierosa i spojrzał na niego oczami, które zmarszczyły się lekko z rozbawienia, jakby mieli między sobą wspólne tajemnice.

Z szacunku dla gospodarza, Woodbine zdjął rewolwery przed wejściem do domu i powiesił je na łęku siodła. Zauważył, że Fry oraz jego ludzie zignorowali ten gest i mieli na sobie pasy z bronią, widział też, że Moody Shay myśli o tym samym. To była przeciwna sytuacja niż ta w mieście, kiedy to Moody został złapany bez broni, i Moody przekazywał mu tę wiadomość z lekkim uśmiechem na twarzy.

Tym razem, Woodbine dał się zaskoczyć. Opadł na krzesło pokryte niewyprawioną skórą i wyciągnął bibułkę i tytoń.

Fry odwrócił się i spojrzał na niego badawczo, nie mogąc nie zauważyć, że Woodbine jest nieuzbrojony, i podjął nagłą decyzję. Kiwnął sztywno głową, nie odzywając się, po czym zwrócił się do starca, odwracając się plecami do Woodbine'a.

— Enosie — powiedział perswazyjnie, — opowiedziałem ci już całą historię. W skrócie wygląda to tak: otwarty teren lub ogrodzenia, co oznacza brak terenu. Spędziłeś wiele lat na budowaniu domu dla siebie i zrobiłeś to bez ogrodzeń. Czy chcesz zobaczyć ten kraj, który pomogłeś stworzyć, zrujnowany, pocięty na małe pola zaoranej ziemi, bez wody dla twojego inwentarza, bez dostępu do wody, bez miejsca, do którego twoje bydło mogłoby się udać, gdy wyjadło trawę w jednym miejscu? To właśnie oznacza ogrodzenie, bydło bez jedzenia i wody, martwe bydło z sępami obrastającymi w tłuszcz na ich padlinach. Czy na to pracowałeś przez całe życie? Nie mogę w to uwierzyć. Enosie, twoi sąsiedzi cię znają. Wiedzą, że jesteś równie mądry, co uczciwy, i szanują twój osąd. Jeśli nie zgodzisz się na ogrodzenie, poprą twój osąd, bo będą wiedzieć, że masz rację. Jeśli pozwolisz na to ogrodzenie, zobaczysz rozlew krwi i w pewnym sensie część tej krwi spadnie na twoją głowę, ponieważ mogłeś temu zapobiec, wpływając na swoich sąsiadów, aby postąpili właściwie i nie stawiali ogrodzeń. To wielka odpowiedzialność dla nas wszystkich, Enosie, ale wiesz, że mamy rację i jesteś wystarczająco silnym człowiekiem, aby wziąć na siebie tę odpowiedzialność. Potrzebujemy cię na dzisiejszym spotkaniu, Enosie, abyś wniósł swój osąd do decyzji. Twój głos podniesiony po sprawiedliwej stronie będzie oznaczał pokój; jeśli będziesz milczał, pamiętaj o rozlewie krwi, który może nastąpić, zanim ta sprawa się zakończy.

Woodbine siedział w fotelu z ponurą miną i utkwionym w papierosa wzrokiem. W myślach wyobrażał sobie Frya i Churchilla i porównywał ich między sobą. Chociaż obaj mężczyźni byli mniej więcej tego samego wzrostu, Churchillowi wiek odebrał trochę mięsa z kości i przygniótł jego szerokie ramiona, podczas gdy Fry był wciąż młody, miał pełne ciało i był pełen energii. Mimo tego, jednak, siedzący Churchill zdawał się górować

nad drugim mężczyzną. Woodbine zauważył, że różnica ta nie była fizyczna, lecz moralna. Fry przemawiał i podkreślał moralną siłę swojej sprawy, ale ponieważ były to jedynie sprytne słowa użyte z egoistycznych pobudek, brzmiały w uszach Woodbine'a pusto, a samo milczenie starego Enosa Churchilla, gdy siedział i rozważał kierowane do niego apele, miało większą moc niż wszystkie argumenty Frya.

Kiedy Churchill odpowiedział Fryowi, jego słowa były powolne, starannie dobrane, i miały w sobie cechę ostateczności, której Fry nie mógł nie zrozumieć.

— Myślałem o tym, co powiedziałeś — oznajmił Churchill. — W swoich czasach walczyłem z ludźmi, którzy próbowali ogrodzić ziemie publiczne. Jestem właścicielem ziemi i ja nie będę jej grodził. Ale jest jeden fakt, którego nie możemy pominąć. Gdybym chciał ogrodzić swoją ziemię, żaden człowiek na ziemi nie mógłby mnie przed tym powstrzymać, choć jestem już stary. Nie mnie oceniać, czy Woodbine postępuje mądrze, grodząc swoją ziemię, czy nie. Ale powiem jedno: ma prawo ją ogrodzić, jeśli chce, a ja nie podniosę ręki, by go powstrzymać. I nie stanę po twojej stronie. Nie widzę innej odpowiedzi na twoją propozycję.

Starzec odwrócił się, otworzył szufladę biurka i zaczął przekładać w niej papiery, jakby czegoś szukał, dając tym samym do zrozumienia, że powiedział już ostatnie słowo na dyskutowany temat.

Noble Fry wstał, zacisnął palce na pasie i zrobił kilka nerwowych kroków wokół krzesła, próbując opanować zniecierpliwienie. Był wystarczająco mądry, by rozpoznać niezłomną wolę starszego mężczyzny i chociaż odmowa go rozgniewała, ostrożnie wstrzymał się od otwartego zerwania z Churchillem. Musiał teraz grać mądrzej niż wcześniej.

— Bardzo dobrze, proszę pana, jeśli taka jest pańska decyzja. Jestem oczywiście rozczarowany i posunąłbym się nawet do stwierdzenia, że nie wierzę, by pomogła ona w utrzymaniu pokoju, gdy Woodbine rozpocznie wojnę. Ale szanuję pańskie prawo do własnego osądu.

Odwrócił się do Moody'ego Shaya.

— W porządku, chłopcy. Lepiej już chodźmy.

Woodbine wstał, ostrożnie zgasił papierosa i wrzucił go do dużego kominka.

— Enosie, chyba odpowiedziałeś mi równie jasno jak Fryowi, więc ja też już pójdę.

Churchill powstrzymał go:

— Zaczekaj, Jim. Chciałem się z tobą zobaczyć. Mam do ciebie pewną sprawę.

Rozbawione oczy Moody'ego Shaya skierowały się na Woodbine'a, a na jego grubych wargach pojawił się zimny uśmiech. Tym razem kot nie zamierzał pozwolić, by osaczona mysz mu uciekła. Podszedł i stanął przed Woodbinem.

— Ja też mam z tobą niedokończoną sprawę, prawda, Woodbine?

— Naprawdę? O Pecan Creek?

Widział, jak w oczach wielkiego mężczyzny szybko pojawia się i znika ponura zasłona, a powracają zmarszczki uśmiechu.

— Nie. O to, że wtrąciłeś się dziś rano w moje osobiste sprawy. Rozumiesz, zakwestionowano moje słowo, a ty nie dałeś mi szansy na uzyskanie zadośćuczynienia za tę zniewagę. Muszę to zrobić teraz, póki jeszcze czas.

Jego masywna dłoń zacisnęła się w pięść i uderzyła Woodbine'a w szczękę, zanim ten zdążył się zorientować. Woodbine poleciał przez pół pokoju, wylądował na kominku i osunął się po nim na podłogę, zanim zdołał się przytrzymać. Pozbierał się na nogi i zrobił trzy kroki w stronę Shaya.

Jeździec Frya o nieznanym nazwisku, wystawił nogę i Woodbine potknął się o nią i upadł jak długi twarzą do podłogi, u stóp Shaya. Shay podniósł się i kopnął Woodbine'a w żebra, gdy ten leżał na ziemi, używając całej swej ogromnej siły, wyciskając Woodbine'owi powietrze z piersi. Woodbine z trudem łapiąc oddech, wytoczył się poza zasięg Shaya i ponownie stanął na nogi. Shay ruszył za nim.

Woodbine nie złapał jeszcze do końca oddechu, i kiedy Shay do niego dotarł, ranczer chwycił go ramionami i wcisnął swą głowę w klatkę piersiową Shaya, przytrzymując go, dopóki nie odzyskał kontroli nad oddechem.

Shay, jednak, nie miał zamiaru dać mu się pozbierać, a zaskoczywszy swojego przeciwnika znienacka, chciał go szybko wykończyć. Próbował oderwać Woodbine'a od siebie, aby móc swobodnie zamachnąć się ręką, lecz Woodbine trzymał się go mocno, dopóki nie zaczął łapać powietrza w płuca. W tym czasie Shay walił go w kark ostrymi ciosami sierpowymi, próbując go sparaliżować.

Woodbine puścił się nagle Shaya i cofnął się, by dać sobie miejsce na zamach. Wtedy drugi z jeźdźców wyciągnął z kabury broń, uniósł ją i uderzył go nią w tył głowy. Woodbine nie zauważył ciosu, ale upadł na podłogę i leżał tam przez dłuższą chwilę, walcząc o odzyskanie przytomności.

Mężczyzna podskakiwał w podnieceniu.

— Tu jest, Moody, wykończ go.

Moody już miał to zrobić, gdy powstrzymał go głos Churchilla.

Stary Enos Churchill wyłowił z biurka swój wielki Colt, model Beaslya, z łamaną rękojeścią i wycelował go w Moody'ego Shaya, lufą wielką jak armata.

— Odsuń się od niego, młody człowieku — rozkazał. — Następnemu, który położy na nim rękę, wywalę wielką dziurę w ciele.

Shay przyjrzał się broni w dłoni starszego człowieka, a potem jego twarzy i tam znalazł odpowiedź. Cofnął się, trzymając ręce z dala od własnej broni. Nieznany jeździec również opanował swój zapał w obliczu broni w dłoni starca.

Noble Fry stał z tyłu, pozwalając tym ludziom rozstrzygnąć sprawę za niego, zwinął papierosa i czekał na rozwój wydarzeń.

Churchill prawdopodobnie nigdy wcześniej nie wykazał się taką godnością i nieustraszoną uczciwością, jak wtedy. Mimo podeszłego wieku, jego dłoń pewnie trzymała rewolwer i choć siedział, dominował w swoim

salonie. Prawdopodobnie był najbardziej chłodnym ze wszystkich obecnych tam ludzi.

Nie odezwał się ani do Moody'ego Shaya, ani do nieokreślonego jeźdźca, lecz do Noble’a Frya.

— Fry — oznajmił ze spokojną stanowczością — zaprosiłem cię do mojego domu, ale ci awanturnicy, których ze sobą przyprowadziłeś, weszli tu tylko dzięki tobie. Ty jesteś odpowiedzialny za ich zachowanie, a było ono na poziomie gromady tchórzy. Przymknąłem oko na brak ogłady waszej trójki, kiedy nie zdjęliście broni, wchodząc tutaj, lecz nie spodziewałem się, że nawet takie śmiecie jak oni mogą jej użyć, będąc gośćmi w cudzym domu. Obarczam cię odpowiedzialnością za ich czyny, ponieważ są twoimi ludźmi i jestem zmuszony prosić całą waszą trójkę, abyście sobie stąd poszli i nigdy więcej nie wracali. Dobranoc!

Fry pstrykał palcami, szukając wyjaśnienia, które ukoiłoby uczucia starca.

— Ale, nie rozumiesz, Enosie, że Woodbine dał Shayowi powód...

— Rozumiem, że stało się to w moim domu. To wystarczy. Dobranoc.

Fry był wściekły w duchu, co Churchill musiał również zauważyć, ale nawet w takiej sytuacji Fry nie dał upustu przepełniającym go emocjom, ale starał się ułagodzić starszego mężczyznę.

— Oczywiście, że wyjadę, Enosie. I przepraszam za to wszystko. Dam do zrozumienia Shayowi, co sądzę o takim czynie.

Twarz Churchilla nadal była lodowata, a Fry skinął na swoich ludzi i wszyscy wyszli. Moody zatrzymał się, gdy mijał Woodbine'a, który już wstał, a jego oczy zmarszczyły się w kącikach.

— Wygląda na to, że ktoś ciągle psuje nasze małe imprezki, prawda? — uśmiechnął się. — Może następnym razem będziemy mieli więcej szczęścia?

— Taa — odparł chłodno Woodbine. — Może nad Pecan Creek.

Oczy Moody'ego Shaya zacisnęły się na chwilę i nerwowo oblizał grube wargi. Potem uśmiechnął się ponownie.

— Jasne, lubię ten kawałek potoku. Zawsze przynosi mi szczęście. — Po czym wyszedł razem z innymi. Woodbine został sam ze starym Enosem Churchillem.

Rozdział 4

Mały człowieczek

Dziewczyna w czasie walki musiała kręcić się gdzieś za drzwiami salonu, ponieważ teraz weszła, i widząc zakrwawioną głowę Woodbine'a, podbiegła do niego i zajęła się jego obrażeniami.

— To nic takiego — zapewnił ją, lecz ona nalegała, by pójść po wodę i przemyć gąbką ranę na głowie, zadaną przez lufę rewolweru. Dotyk jej rąk wydawał się mieć w sobie coś wyjątkowego, coś osobistego, jakby próbowała okazać mu czułość, która była zarezerwowana specjalnie dla niego.

Kiedy skończyła, wziął do ręki kapelusz.

— Przepraszam, że stałem się przyczyną zamieszania — powiedział, prosząc o wybaczenie zarówno dziewczynę, jak i jej ojca. — To przeze mnie go zaprosiliście.

— Wcale nie — zapewnił go Enos Churchill. — Każdy człowiek jest mile widziany w moim domu, jeśli zachowuje się jak człowiek. Zostałeś zaatakowany i miałeś rację, broniąc się.

Stary człowiek ze znużeniem podrapał się po brodzie.

— Wiem, co to wszystko znaczy — powiedział — i nie jest to nic dobrego. Zajmowałem się swoją pracą i chcę tylko pokoju. Nie zamierzam stawać po niczyjej stronie. Jesteś tu mile widziany, synu, jak zawsze. Lecz inni moi przyjaciele także będą u mnie mile widziani, a niektórzy z nich mogą być przeciwko tobie. Jednak nikt więcej nie wejdzie już do mojego domu z bronią u pasa. Przypuszczam, że to wyczerpuje temat, na który chciałeś ze mną porozmawiać.

Woodbine ponownie wstał i wziął do ręki kapelusz.

— Tak jest — odpowiedział. — Dzięki za pomoc. Ci chłopcy chcieli grać naprawdę twardo.

— Lepiej uważaj na tego faceta o wątrobianych wargach — powiedział starzec. — Widziałem już takich. Walczy dla przyjemności. Jeszcze będziesz się z nim musiał zmierzyć.

— Zostaniesz na kolację? — zapytała Amy Churchill.

Dziewczyna zmieniła strój do jazdy konnej na sukienkę z szarego, miękkiego materiału, która na swój sposób udowadniała, że nie jest już dzieckiem, lecz dobrze rozwiniętą młodą kobietą, a jej spojrzenie potwierdzało rewelacje ujawniane przez sukienkę.

— Dzięki, nie tym razem — odpowiedział Woodbine. — Jeszcze nie skończyłem jeżdżenia na dziś.

— Jedziesz do Virginii Sterling?

Woodbine próbował uchwycić wyraz jej twarzy, kiedy zadawała to pytanie, ale odwróciła głowę.

— Tak — odpowiedział — dziś wieczorem ma się tam odbyć spotkanie.

— Tak, słyszałam — powiedziała. — Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawił.

Woodbine zaśmiał się krótko.

— Wątpię, by mi się tam spodobało — stwierdził i ruszył do drzwi.

Był nieco zaskoczony, gdy wyszła za nim na werandę.

— Virginia, to wspaniała dziewczyna, prawda? — spytała Amy, a w tonie jej głosu słychać było dziwną, głęboką nutę.

— Jest dobrą sąsiadką — przyznał Woodbine. — Znam ją od bardzo dawna.

Amy stała tak blisko niego, że mógł zobaczyć gwiazdy świecące w jej oczach i wyczuć słaby zapach perfum, które miała na sobie. Światło księżyca sprawiało, że jej gładkie czarne włosy lśniły i nadawały jej skórze rodzaj niezwykłej luminescencji.

— Czyż nie jest tu pięknie? — spytała. — Myślę, że kiedy świeci księżyc, to jest najpiękniejsze miejsce na świecie. Prawda?

Jej głos był miękki jak powiew wiatru i powodował, że jego wyobraźnia szalała. Amy stała bardzo blisko niego, mógł więc zobaczyć przypływ emocji na jej twarzy i maleńki koniuszek języka dotykający jej warg. A kiedy spojrzała na niego, przez ułamek chwili zanim opuściła wzrok, w spojrzeniu tym była bezpośredniość i śmiałość. Słyszał jej głęboki, nierówny oddech. Potem nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której czekała na jego odpowiedź.

Wziął głęboki oddech i powiedział z wymuszoną lekkością:

— Lepiej wejdź już do środka. Światło księżyca to niebezpieczna broń dla kogoś, kto nieostrożnie się z nim obchodzi.

A potem odszedł. Stała na werandzie, obserwując jego postać, gdy znikał w cieniu, zmierzając w stronę swojego konia. A kiedy usłyszała tętent kopyt zwierzęcia na szlaku, stała wpatrując się w czerń, zastanawiając się. Zastawiła na niego sidła i sidła te wyraźnie miały na niego wpływ, prawie udało jej się wciągnąć go w swoje ramiona, jak uważała. Lecz on zorientował się i w ostatniej chwili z nich umknął. Zastanawiała się dlaczego i nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, chyba że w osobie Virginii Sterling.

Odwróciła się niecierpliwie i poszła do domu, do swojego pokoju. Tam zaś podeszła do lustra i przeszukała obraz, który w nim zobaczyła. Nie mogła znaleźć w nim żadnej skazy, co wzbudziło jej zdziwienie. W końcu powiedziała sobie, że przecież on nadal będzie w pobliżu - jeśli Fry go nie zabije. Potem zeszła na dół na kolację.

* * * *

Woodbine ruszył do domu, lecz gdy zbliżył się do rozciągającego się wzdłuż potoku lasu, jakiś instynkt ostrzegł go przed skorzystaniem ze zwykłego szlaku. Wstrzymał swe zwierzę na chwilę, po czym skręcił w prawo i skierował się w górę rzeki, w stronę domu Hugha Amblera.

Później, w pobliżu domu Amblera, będzie mógł przekroczyć potok i dotrzeć do domu Sterlingów równie szybko, jak normalną trasą.

Chociaż, jak się okazało, ten środek ostrożności nie był konieczny, to tylko dzięki sprytnemu rozumowaniu Noble'a Frya nie zastawiono na niego pułapki w lesie, na jego własnej ziemi. Gdy grupa Frya podążała tym samym szlakiem nieco wcześniej, Shay pchnął konia, podjeżdżając do swego szefa i coś mu zasugerował.

— Widzisz tę plamę światła księżyca, padającą na szlak? — powiedział Shay. — Gdyby w zaroślach ukrył się jakiś strzelec, mógłby zdjąć jeźdźca na szlaku w chwili, gdy ten wjechałby w tę plamę światła. Ten człowiek nawet by się nie zorientował, co go trafiło, a wszyscy którym sprawiał wcześniej kłopoty, mieliby później święty spokój.

Noble Fry zastanowił się przez chwilę, po czym odparł:

— To byłaby najgłupsza rzecz, jaką można zrobić. Może kłopoty z tej strony faktycznie by zniknęły, ale z pewnością pojawiłyby się kłopoty ze strony innych ludzi.

— Nie rozumiem cię.

— Właśnie mieliśmy kłopoty u Churchilla, prawda? Opuszczamy Churchilla kilka minut przed Woodbinem, a następnego dnia Woodbine zostaje znaleziony martwy z kulą w plecach.

— Czy to dowodzi, kto to zrobił? Od kiedy to na kulach wypisane są nazwiska ich właścicieli?

— Twoje imię byłoby wypisane na tej kuli wielkimi literami, a Churchill byłby człowiekiem, który by je odczytał. Moody, problem z tobą polega na tym, że są pewne rzeczy, których zbytnio nie dostrzegasz. Na przykład kwestii siły moralnej.

— Dla ławy przysięgłych słowo jednego człowieka jest tak samo dobre, jak każdego innego.

— I tutaj, mój drogi przyjacielu, mylisz się tak bardzo, jak tylko człowiek może się mylić. Słowo jednego człowieka jest tak samo dobre jak słowo innego, w księgach prawnych, ale nie w umysłach ludzi. To tak jak z Deklaracją Niepodległości, która mówi, że wszyscy ludzie rodzą się wolni i równi. Tak jest napisane w księdze, ale to nie czyni tego, że tak jest naprawdę. Tak samo, w księgach prawnych napisane jest, że słowo jednego człowieka jest tak samo dobre jak drugiego, ale to też nie czyni z tego rzeczywistości. Żaden człowiek w tej okolicy, Moody, kompletnie żaden, nie ma w oczach swoich sąsiadów słowa tak dobrego jak słowo Churchilla. Przyjęliby jego słowo i osąd przeciwko słowu pięćdziesięciu ludzi takich jak ty, i mieliby rację. To jest coś, czego tacy jak ty nie potrafią zrozumieć i nigdy nie będą w stanie tego zrobić, Moody.

— Takie gadanie to dla mnie chińszczyzna — mruknął Moody. — Nie rozumiem tego, a ja nie wierzę w rzeczy, których nie rozumiem.

— Wystarczy, że zrozumiesz, iż nie pozwalam ci teraz na zastawienie pułapki na Woodbine’a. Kiedy walczysz o pozycję wśród ranczerów, musisz utrzymywać swoją reputację w nieskazitelnym stanie i nie możesz sobie pozwolić na jakieś szalone wyskoki i zrobić czegoś, co wzbudzi podejrzenia sąsiadów względem ciebie. Po prostu trzymaj swoje szelki z dala od hałasu, a my i tak złapiemy pana Woodbine'a za ucho, w swoim czasie i

bez krytyki ze strony chłopców o drażliwej moralności. Teraz jadę do Sterlingów. Chcę, żebyś pojechał do miasta i posiedział trochę w saloonach. Ci rewolwerowcy Woodbine'a nie są z gatunku tych, którzy wylegują się w barakach dla kowbojów, jak tłuste koty. Sprawdź, czy nie kręcą się gdzieś po okolicy. Porozmawiaj z nimi i dowiedz się, czy znasz któregoś z nich lub kogokolwiek, kogo oni znają. Zorientuj się, ile płaci im Woodbine. Wyczuj ich i zobacz, czy nie dałoby rady odciągnąć ich od niego wyższymi płacami. W każdym razie, zaprzyjaźnij się z każdym z nich i zobacz, jak się mają sprawy. Po powrocie przyjdź do domu i daj mi znać, czego się dowiedziałeś.

I w ten sposób, Moody Shay wraz z drugim człowiekiem pojechali do miasta, Noble Fry do Virginii Sterling, a na szlaku Woodbine'a nie było żadnej zasadzki.

Sam Woodbine minął właściwą ścieżkę ku potokowi i pojechał do Hugha Amblera, starając się przypomnieć sobie wszelkie informacje, jakie posiadał o tym człowieku. Nie było tego wiele. Ambler przybył i zajął działkę po drugiej stronie Pecan Creek, za posiadłością Sterlinga, jakieś trzy lata temu. Sprowadził parę sztuk krów i dwa dobrze wyglądające byki, wypuścił je na swobodę i zaczął stawiać swoje budynki. Nie kręcił się zbyt często po okolicy i niewiele osób wiedziało o nim cokolwiek.

Ambler wyjeżdżał na spędy swojego bydła każdej wiosny i jesieni, robił co do niego należało, po czym brał co mu się należało, znakował cielęta i zapędzał należące do niego zwierzęta z powrotem na swoją ziemię, by puścić je na swobodę w pobliżu swojej siedziby. Był dużym mężczyzną, z którym łatwo było się dogadać podczas spędów, i potrafił wykonać więcej, niż swoją część pracy. Ale wciąż nie miał zbyt wiele ziemi ani zbyt wielu krów pasących się na otwartych terenach. Był po prostu drobną rybką, którą ludzie widywali, lecz nie znali jej zbyt dobrze.

Woodbine zatrzymał konia na polanie, gdy zobaczył światło z małej chaty Amblera i zawołał go po nazwisku. Ambler zgasił światło, podszedł do drzwi i krzyknął:

— Kto tam?

Woodbine zauważył ostrożne zachowanie mężczyzny.

— Woodbine. Chciałem z tobą porozmawiać.

Mężczyzna wyszedł na światło księżyca i Woodbine zobaczył, że ma przypiętą broń.

— Poświecę ci — powiedział mężczyzna, a Woodbine zsiadł z konia i wyszedł mu na spotkanie. Nigdy wcześniej nie odwiedzał tego człowieka i rzadko go widywał, z wyjątkiem dwóch razy w roku, podczas spędu, i od czasu do czasu miał okazję zobaczyć go nad korytem potoku.

Ambler nie próbował utorować drogi do łatwej rozmowy, zwykłymi, zdawkowymi uwagami, ale czekał, aż Woodbine powie o co mu chodzi.

— Dziś wieczorem odbędzie się spotkanie u Sterlingów. Jechałem w tamtą stronę i zatrzymałem się, by sprawdzić, czy się wybierasz.

— Nie myślałem o tym — odpowiedział mężczyzna. Nie zachowywał się chłodno, ale pozwalał by to Woodbine mówił.

— Słyszałeś o nim?

— Tak.

— Zatem wiesz, że chodzi o ogrodzenie. Noble Fry i część z ludzi, którzy nie mieszkają nad potokiem, są temu przeciwni. Ci z nas, którzy mają ziemię nad potokiem, będą nadal karmić stada tamtych, chyba że postawimy ogrodzenia. Tamci twierdzą, że ogrodzenia ich zrujnują. Ja zaś twierdzę, że to pozostawienie naszej ziemi otworem, zrujnuje mnie i wszystkich nad potokiem. Ty też mieszkasz nad potokiem. Miałem nadzieję, że spojrzysz na to z mojej strony, ponieważ dotyczy to tak samo ciebie, jak i mnie.

— Taa — odparł Ambler. — Słyszałem również drugą stronę. Nie podjąłem jeszcze decyzji. Fry złożył mi ofertę. Jaka jest twoja?

Ambler był równie dużym mężczyzną jak Woodbine i może z dziesięć lat starszym. Był szeroki w ramionach i miał niezbyt duży brzuch, a jego twarz była gładka i zdrowa. Charakteryzowała ją para czujnych i odważnie patrzących szarych oczu. Roztaczał wokół siebie atmosferę zaufania do swoich umiejętności. Jego postawa teraz, gdy zadał to pytanie, wskazywała na próbę przejęcia inicjatywy, przy pomocy jednego nagłego ruchu.

Woodbine przyglądał się uważnie swojemu rozmówcy, po tym niespodziewanym pytaniu. Nigdy nie uważał Amblera za człowieka, którego broń jest na sprzedaż, ale tutaj najwyraźniej oferował on ją sąsiadowi, i to w obliczu nadchodzących kłopotów, które powinien uważać za równie ważne dla siebie, jak i dla Woodbine'a.

Woodbine zastanowił się nad tym pytaniem, po czym zadał kolejne:

— A jakie są twoje warunki?

— Jestem tu otoczony ze wszystkich stron — oznajmił Ambler — z przodu mam Churchilla, z tyłu góry i was ze Sterlingiem, po drugiej stronie potoku, pomiędzy mną a drogą. Zajmujecie, od potoku do drogi, teren o głębokości dwu sekcji. Chcę dwie sekcje od ciebie i dwie sekcje od Sterlinga. To da mi czterosekcyjny blok między tobą a Sterlingiem i da mi dostęp do drogi.

Woodbine przez chwilę powstrzymywał swój język.

— A nie chciałbyś może jeszcze do tego, zabudowań rancza mojego i Sterlinga, co? Przyjacielu, to jest tak samo twoja walka, jak i nasza.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Możliwe. Ale może wcale nie będę musiał walczyć. Znam wszystkie uwarunkowania, i ty po prostu nie masz wystarczającej liczby ludzi, którzy by cię popierali, aby osiągnąć swoje. Fry ma wszystkie atuty w ręku, a jeśli się z nim dogadam, to gdy rozwieje się dym, będę mógł zachować swoją własną ziemię i zyskać jeszcze coś więcej.

— Jeśli Fry wygra.

— Wygra, a kiedy to zrobi, dostanę swoje. Nie przybyłem tu po to, by pozostać małym człowieczkiem.

— Pracując dla Frya nie będziesz mógł się rozrastać.

— On myśli tak samo, ale nie zna mnie ani trochę lepiej niż ty. Zrozum, Woodbine, jestem teraz mały, ale nie zamierzam taki pozostać. Znam słabości Frya i wiem, jak je wykorzystać. Jestem samotnym wilkiem i trzymam z ludźmi, którzy przynoszą mi najwięcej korzyści. Jeśli Fry myśli, że robi ze mnie frajera, to musi się jeszcze wiele nauczyć. Ty nie

oferujesz mi niczego; Fry oferuje mi część twojej ziemi, kiedy cię z niej wypędzi, ale nie zamierza dotrzymać tej obietnicy. To mnie wcale nie martwi, Woodbine, to mnie tylko śmieszy. Wyciągnę co swoje z tej awantury. Mówię ci, drogi panie, abyś nie wykluczał mnie z tej imprezy. Może i spowodowałeś, że Fry podkulił ogon pod siebie, ale ja nie jestem nim. Wiem, jak pachnie proch strzelniczy, wąchany z obu krańców lufy.

— Dzięki za ostrzeżenie, Ambler. Miałbyś może ochotę trochę go powąchać teraz?

— Wącham proch tylko wtedy, kiedy mi to odpowiada. I robię to jedynie w sytuacji, gdy na lufie opierają się poważne i pewne korzyści.

Woodbine wsiadł na konia.

— W porządku, drogi panie. Wiemy, na czym stoimy. Przyszła mi do głowy jeszcze jedna rzecz: trzymaj się z dala od Amy Churchill.

Mężczyzna obruszył się na te słowa; Woodbine wyczuł to wyraźnie w jego głosie.

— Czym ona dla ciebie jest?

— Niczym, stary. Ale jej ojciec jest kimś ważnym dla mnie i dla każdego przyzwoitego człowieka, w promieniu jednego dnia jazdy stąd, jeśli coś to dla ciebie znaczy.

Zawrócił konia i odjechał odwrócony plecami do Amblera, aż zniknął w lesie. Gdy przejeżdżał przez las i przez potok przy brodzie za ranczem Sterlingów, rozmyślał o zaskakujących rzeczach, które Ambler wyjawił na swój temat.

Ambler nagle stał się siłą, którą należy obserwować i z którą trzeba się zacząć liczyć. Był to człowiek o olbrzymich pokładach egoizmu i ambicji, kipiących pod jego zazdrością o większych od siebie, którzy go ignorowali; człowiek, którego gorycz była taka silna, że przy pierwszej nadarzającej się okazji ujawniła go przed tymi, przed którymi powinien był się maskować. Oto sęp ujawniający swój zamiar utycia na ciałach poległych sąsiadów. Trzeba go było uważnie obserwować.

Rozdział 5

Mała dzika kocica

Woodbine podjechał do ogromnego domu mieszkalnego na ranczu Sterlingów i okrążył go w świetle księżyca, docierając do konowiązu na froncie. Ze zdziwieniem spostrzegł, że nie ma tam uwiązanych żadnych wierzchowców, tak jak to powinno być, gdyby spotkanie było w toku. Gdy zsiadł z konia, popatrzył na ziemię i zauważył, że widać było na niej wiele świeżo wydeptanych śladów, co świadczyło o tym, że jeźdźcy byli tu i już odjechali. Uwiązał konia, podszedł do drzwi i zapukał.

W drzwiach stanęła Virginia Sterling, w nowej zielonej sukni, którą najwyraźniej przywiozła ze sobą z wizyty u ciotki, i zieleń ta w jakiś sposób sprawiała, że jej bujne kasztanowe włosy wydawały się jeszcze bardziej czerwone. Była drobna, lecz nie jakoś strasznie chuda. Wręcz przeciwnie, miała prosty, czysty i zdrowy wygląd. Jej lekko piegowata twarz wyglądała na zadbaną, a nie mocno umalowaną, co nadawało jej urodzie raczej odrobinę realności, a nie jakiejś wydumanej tajemniczości. Virginia Sterling nigdy nie kryła w sobie żadnych tajemnic, może z wyjątkiem tajemnicy tego, jak jedna mała dziewczynka mogła mieć w sobie tyle zapału, energii i ognia, a jednocześnie, w większości przypadków, tyle zdrowego rozsądku.

Przytrzymała otwarte drzwi aż Woodbine wejdzie do środka, a jej oczy błyskały iskrami. Zatrzasnęła za nim drzwi i poszła jego śladem do dużego salonu, w którym siedział i palił fajkę stary Bob Burnham. Bob zawsze mieszkał w tym domu, razem z rodziną. Wydmuchnął dym i mrugnął do Woodbine'a.

Dziewczyna złożyła ręce na piersi i oznajmiła ostro:

— Już najwyższy czas, żebyś się w końcu pojawił. Podpaliłeś lont do skrzyni z dynamitem, który wysadzi w powietrze całą okolicę, a potem pojechałeś oglądać sobie księżyc z Amy Churchill, nie dbając o to, kto zginie. Jimie Woodbine, powinnam cię stąd wyrzucić na zbity pysk.

Woodbine bawił się, kłócił, tańczył i kłócił z Virginią, od czasu gdy byli dzieciakami z sąsiedztwa, i nie traktował jej gniewnych zaklęć zbyt poważnie. Uśmiechnął się do niej.

— Poczekaj, kochanie. Gdzie jest spotkanie?

— Spotkanie już się skończyło i nie praw mi tu słodkości, ty rozrabiako!

Woodbine zauważył, że gniew ten był dzisiaj głębszy niż jej zwykłe szybkie wyrzuty, które pojawiały się i znikały jak liście na wietrze, i

popatrzył poważnie na Boba, który wzruszył ramionami i zgasił tytoń w swojej fajce, pozostawiając Jima, by samotnie stawił czoła tej burzy.

— I co postanowili?

— Dokładnie to, co Noble przewidział, że zdecydują; że byłoby niesprawiedliwe wobec wszystkich, gdybyśmy odgrodzili naszych sąsiadów od potoku. Więc nie będziemy się grodzić.

— To wy się nie będziecie grodzić!

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Czy to znaczy, że i tak zamierzasz postawić ogrodzenie, pomimo tego, co mówią sąsiedzi?

— Pomimo tego, co mówią ludzie, którzy chcą mojej trawy. Zamierzam ogrodzić moje ziemie, a ty powinnaś zrobić to samo, chyba że zamierzasz zrezygnować z prowadzenia rancza.

— Jim, jesteś szalony. Prosisz się o kłopoty. Nie mogę pojąć, jak w tak wielkiej głowie jak twoja może być tak mało rozsądku, by kazać ci wszczynać wojnę.

— Ja jej nie wszczynam. To Fry zamierza ją rozpocząć, jeśli ogrodzę swoją ziemię. To coś zupełnie innego.

— Wcale nie. To dokładnie to samo. To oznacza zabijanie.

Woodbine zrezygnował z próby przekonania jej. Wzruszył ramionami.

— Rób, co chcesz — powiedział. — Odkupię drut od ciebie, jeśli uznasz, że cię oszukałem. Mogę go wykorzystać.

— Nie chcę pieniędzy za drut. Po prostu nie chcę, żebyś dalej był takim głupcem.

Stary Bob odłożył swoją fajkę na stolik z boku.

— Wysłuchuję waszych kłótni i awantur od prawie dwudziestu lat — poskarżył się. — Chciałbym, żebyście załatwili to raz na zawsze. Pocałujcie się i pogódźcie, czemu nie?

Virginia popatrzyła na Woodbine'a z pogardą.

— Całować tego idiotę? Równie chętnie pocałowałabym kaktus. Dobranoc!

Zaczęła się odwracać i wychodzić z pokoju, lecz nagle Jim Woodbine złapał ją za nadgarstki i przytrzymał ją twarzą do siebie, obserwując ogień w jej oczach.

Ogarnął go impuls, który był dla niego czymś zupełnie nowym. Obserwował jej twarz, widział na niej przelotny wyraz zaskoczenia, a potem zdumienia. Stała nieruchomo, z twarzą zwróconą w jego stronę, z ustami nieruchomymi, jakby miała przed sobą coś nowego i zaskakującego. Usłyszał, jak łapie oddech, zobaczył, jak jej piersi szybko unoszą się i opadają.

Potem przyciągnął ją do siebie żarliwym gestem i zamknął ją w ramionach. Pochylił głowę i pocałował ją, a jej usta przez chwilę były twarde. Potem jednak pod wpływem jego pocałunku stanowczość zniknęła z jej warg, a ręce dziewczyny znalazły drogę wokół jego pleców. Przez krótką chwilę czuł miękkość jej ciała, po czym wszystko uległo zakończeniu.

Wyrwała się z jego ramion, wpatrując się w niego tak, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Następnie obróciła się na pięcie i wypadła z

pokoju, nie oglądając się za siebie, a on stał i słuchał stukotu jej obcasów, gdy wbiegała po schodach.

Woodbine był roztrzęsiony i chciał wydostać się na zewnątrz, w ciemność, aby móc przyjrzeć się sobie i zorientować się, co się z nim stało. Złapał kapelusz ze stołu i wyskoczył przez frontowe drzwi w światło księżyca, kierując się ku swemu koniowi.

Bob dogonił go, zanim zdążył odwiązać wodze od poręczy. Stary zarządca taktownie zignorował to niepokojące wydarzenie i podjął rozmowę o innych sprawach.

— Jak ci poszło z Enosem? — spytał.

— Niedobrze! Będzie siedział cicho na neutralnym stanowisku i nie można go za to winić. Wygląda na to, że będę musiał jechać na sto procent sam. Rozmawiałem nawet z Amblerem.

— Ambler powinien pójść za tobą — zauważył Bob. — Ma trawę koło koryta potoku, którą powinien chcieć chronić.

— To nie jest jego główna idea — odparł Woodbine. Po czym opowiedział Burnhamowi o swojej rozmowie z mało znanym człowiekiem zza potoku. — Tak więc — stwierdził, na zakończenie — wygląda na to, że mamy sąsiada, który może okazać się interesującym człowiekiem.

— Co ty nie powiesz — powiedział Stary Bob w zamyśleniu. Następnie nabił fajkę i zapalił ją, ciągle pogrążony w myślach. — Wiesz, to może wiązać się z czymś, co Virginia powiedziała podczas kolacji. W pierwszej chwili nie zwróciłem na to uwagi, ponieważ byłem zajęty innymi sprawami. Ciotka Virginii mówiła jej, że Hugh Ambler jest dobrze znany w Deerlick. Powiedziała, że ma ranczo niedaleko tego miasta i jest tam postrzegany jako posiadacz kolejnego dużego rancza tutaj. Mówią, że przepędza wiele zwierząt z tego rancza, na swoje drugie ranczo w Deerlick, aby podtuczyć je przed wysyłką. Jak rozumiem, ci ludzie uważają, że tutaj jest jego duże ranczo, a Deerlick to tylko rodzaj gospodarstwa pomocniczego. Zabawne, prawda?

Woodbine przeanalizował w myślach tę zagadkową informację i spróbował dopasować ją do obrazu Amblera, jaki właśnie się ukształtował. Kiedy już mu się to udało, zauważył:

— On nie ma tu wystarczająco dużo własnego inwentarza, by zasilać nim jakąkolwiek hodowlę w Deerlick. A poza tym, jego stado w czasie każdego spędu, zwykle wykazuje mniej więcej takie same przyrosty pogłowia co nasze, co z pewnością nie miałoby miejsca, gdyby przepędzał jakąkolwiek jego część gdzie indziej. Skąd więc bierze cały ten inwentarz, który przepędza do Deerlick?

— Może to robić tylko w jeden sposób — powiedział Bob. — Znakuje kradzione cielaki. Wielu ludzi zaczynało w ten sposób, a tutaj, na tych zalesionych terenach koło potoku i porośniętych lasem wzgórzach wokół niego, to byłaby pestka. Człowiek mógłby codziennie przeczesywać te lasy z przygotowanym żelazem i byłyby małe szanse na przyłapanie go na gorącym uczynku, gdyby przykładał je cielakom, a następnie przepędzałby je na swoją stronę potoku i łączył razem ze swoimi sztukami.

— Tak — zgodził się Woodbine — i dopóki miałby wystarczająco dużo rozsądku, by nie stać się zbyt chciwym, tak by nasze stada nie

wykazywały zbyt małego wzrostu pogłowia. A gdyby miał inne ranczo po drugiej stronie gór, gdzie mógłby przepędzać nadmiarowe sztuki, nikt by go nawet nie podejrzewał.

— A więc to musi być właściwa odpowiedź — rozmyślał na głos Bob. — Ale to tylko podejrzenia. Jedyne, na czym można się oprzeć, to jego wybuch i ujawnienie, jakiego typu jest człowiekiem.

— Mamy wystarczająco wiele podstaw do naszych podejrzeń — nie zgodził się Woodbine. — Jeśli obsadza inne ranczo bydłem, które jak twierdzi, wyhodował w tej swojej małej chacie, to wiemy, że kłamie. Wiemy też, że nie kupuje tutaj tego inwentarza. Bierze go więc od kogoś, a nasze sztuki są tuż pod jego nosem. Więc wiemy już, na czym się to opiera.

— Co zamierzasz z tym zrobić?

— Nie mogę nic zrobić, dopóki nie przyskrzynię go na czymś nieuczciwym. A teraz nie mam na to czasu. Mam pełne ręce roboty.

— Masz. Tak, to prawda. Wiesz już, na czym stoisz?

— Dokładnie. Jestem sam, mam tylko pięciu jeźdźców, na których mogę polegać, i dziesięciu najemnych rewolwerowców, którzy będą ze mną tak długo, jak im to odpowiada, i dopóki mam pieniądze, by im za to zapłacić. Przeciwko mnie jest Noble Fry z około dwudziestoma rewolwerowcami i wszyscy ranczerzy, którzy chcą żyć z trawy Woodbine’a i Sterlinga. Do tego Moody Shay, który gra razem z Fryem z nieznanych mi powodów, ale który również jest świetnym strzelcem i ma do mnie osobistą urazę o to, co podejrzewa, że o nim wiem. Do ataku na mnie gotowy jest także Hugh Ambler, jeśli tylko znajdzie sposób, by zarobić na moich kłopotach.

— A Virginia? — spytał dziwnie starzec. — Już wcześniej liczyłeś, że masz ją przeciwko sobie.

— Ona się nie liczy. To tylko uparty dzieciak, który ma niewłaściwe poglądy.

— Być może przedtem była dzieckiem, ale przestała nim być jakieś dziesięć minut temu — zauważył rozsądnie stary zarządca.

— Co masz na myśli? — spytał Woodbine, czując w umyśle zakłopotanie, nawet gdy to mówił.

— Nie bądź głupcem, Jim. — Starzec postukał fajką w obcas buta. — A więc — powiedział, raptownie zmieniając temat. — Co zamierzasz teraz zrobić? Będziesz czekał, aż stado się zbierze i ruszy na ciebie?

— Nie, nie mogę znikąd uzyskać pomocy, więc zabieram się do tego sam. I zaczynam od razu - od Moody’ego Shaya.

— Dlaczego Moody? Przecież to tylko mała rybka.

— Tak myślisz? Ja uważam, że on jest swego rodzaju zwornikiem. Jeśli uda mi się go zniszczyć, wierzę, że w ten sposób uda mi się rozbić całą tę kombinację zmontowaną przeciwko mnie, dzięki czemu będę mógł poradzić sobie z każdą z tych grup z osobna.

— Masz coś na niego?

Jim Woodbine zastanowił się przez chwilę, po czym podjął decyzję.

— Czy nie nachodziły cię może kiedyś myśli, że ojciec Virginii mógł zostać zamordowany?

Stary Bob milczał przez chwilę, po czym odparł:

— Jim, a skąd ci to przyszło do głowy? Wszyscy razem byliśmy na polowaniu na jelenie. Ty, ja oraz Noble Fry byliśmy w zasięgu wzroku od siebie, kiedy usłyszeliśmy strzał, a stary Ab, gdy jego broń wypaliła, nie był od nas dalej niż jakieś pięćset metrów.

— Myśleliśmy, że to był wystrzał z jego broni. Kiedy do niego dotarliśmy, leżał przy ogrodzeniu z drutu kolczastego nieprzytomny, a w jego broni znajdowała się wystrzelona łuska. Każdy taki układ naturalnie sprawiałby wrażenie, że ktoś przypadkowo się postrzelił, próbując przedostać się przez ogrodzenie, z naładowaną bronią. Przecież tak wielu ludzi ulega postrzałowi z własnej broni w ten właśnie sposób.

— Naturalnie, ale dlaczego mielibyśmy pomyśleć, że w przypadku Aba było inaczej? Nigdy nawet nie przypuszczałem, że podejrzewasz Noble'a o jego zabicie.

— Nie podejrzewam Noble'a o samo oddanie strzału. Miałem Noble'a praktycznie przez cały czas na oku, kiedy to się stało, i Noble po prostu nie mógł go zastrzelić. Jednak już od dłuższego czasu miałem swoje podejrzenia, ale nie potrafiłem znaleźć żadnego motywu, dla którego Ab mógłby zostać zamordowany. Teraz już go znam i zamierzam coś z tym zrobić. Uważam, że to Moody Shay zastrzelił Aba Sterlinga!

— Jak na to wpadłeś?

— Pamiętasz, jak zabraliśmy Aba do obozu i posłaliśmy po lekarza. Pomogłem lekarzowi wyciągnąć kulę. Ab miał ze sobą strzelbę Winchestera. Ale kula, którą wyjął mu lekarz, nie była pociskiem do Winchestera, ze stalowym płaszczem, jakich używał. Był to duży ołowiany pocisk, który musiał pochodzić ze starego Kraga. Nie mógł zostać wystrzelony z broni Aba, a więc musiał go wystrzelić ktoś inny. Nieraz widziałem Moody'ego Shaya polującego na jelenie ze starym Kragiem. Ty też!

Stary Bob Burnham zamilkł na chwilę, po czym mruknął coś jakby do siebie.

— Pamiętam, jak Moody mówił w mieście, że kiedy zdarzył się wypadek, przez tydzień był po drugiej stronie stanu. Prawdopodobnie ukrywał się, czekając, aż Fry zastawi pułapkę. Potem zastrzelił Aba, podkradł się i wyrzucił pełny nabój z broni Aba, zastępując go wystrzelonym. Prawdopodobnie oddał strzał w chwili, gdy Ab zaczął przechodzić przez ogrodzenie i sprawił, że wyglądało to na kolejny wypadek z bronią, na polowaniu. Ale dlaczego?

— Tego nie jestem pewien. Ale pamiętasz, że to żebyśmy wszyscy pojechali tam na polowanie na jelenie, to był pomysł Noble'a Frya? A przecież mogliśmy urządzić polowanie znacznie bliżej domu.

— Jim — oznajmił z napięciem Bob Burnham. — Gdybyśmy zachowali tę kulę jako dowód, poszedłbym teraz z tobą stawić czoła Moody'emu Shayowi.

Jim Woodbine wyciągnął kulę z kieszeni i przytrzymał ją w dłoni w świetle księżyca.

— Oto ona. Zachowałem tę kulę przez długi czas, Bob. Dziś wieczorem zamierzam dopasować ją do starej strzelby Moody'ego Shaya. Idziesz ze mną?

— Zaczekaj, aż osiodłam konia i wezmę broń — powiedział starszy mężczyzna i skierował swoje kroki w stronę zagrody. — Wciągnąłeś mnie w to, wbrew temu, co mówi Virginia.

Rozdział 6

Pocisk z wypisanym imieniem i nazwiskiem

Domek Moody'ego Shaya położony był na wzgórzach na zachód od domku Sterlinga, i Woodbine i Burnham podeszli do niego pieszo, po przywiązaniu koni w bezpiecznej odległości od polany, na której stał.

— Mówisz, że Moody'ego nie było z Fryem na spotkaniu? — powtórzył Woodbine.

— Nie. Może być tu, albo może gdzieś indziej.

— Jeśli go tutaj nie ma, to i tak poszukam tego jego karabinu. To może być nie w porządku…

— Kogo to obchodzi w tych okolicznościach? — prychnął Bob. — Według mnie ten hombre nie ma żadnych praw. Nigdy nie słyszałem, by uczciwie zarobił choćby dolara, odkąd jest w tych stronach.

Gdy dotarli na polanę, chata Shaya stanowiła nieoświetloną ciemną plamę pod wielkim dębem.

— Może śpi w środku, a może nie — powiedział Woodbine. — Ty zajmij się drzwiami od tyłu, a ja frontowymi.

Podjęte przez nich środki ostrożności okazały się niepotrzebne, ponieważ obaj otworzyli swoje drzwi, nie słysząc w domu żadnych odgłosów życia. Woodbine trzymał broń w pogotowiu i lewą ręką zapalił zapałkę.

— Nikogo nie ma — powiedział Burnham.

Woodbine zapalił stojącą na stole lampę naftową, po czym zamknęli drzwi i zaczęli szukać strzelby na jelenie, należącej do Shaya. Znaleźli starą broń położoną na płask na belce stropowej i Woodbine zarekwirował ją. Zabrali broń ze sobą i przejechali jakąś milę w stronę miasta, zanim zatrzymali się, aby ją przebadać.

Karabin miał w komorze nabojowej cztery naboje, zaś ołowiane pociski w nabojach pasowały do ołowianej kuli, która zabiła ojca Virginii Sterling i którą Woodbine nosił przy sobie od śmierci starca, czekając na jakiś przełom w sprawie, który pomógłby mu udowodnić, że jego stary przyjaciel został zamordowany.

— To kończy sprawę — zarzekał się stary Bob. — Wredny skunks. Gdybym wiedział o tym wcześniej, sam bym tu przyjechał i go zabił. Ciekawe, gdzie możemy go znaleźć?

— Nie było go z Fryem. To typ hombre, który wyczuwa podniecenie jak sęp padlinę, a w mieście będzie się dzisiaj sporo działo. Ludzie będą się kręcić poza domami, usiłując zgadnąć, co będzie dalej.

— Jedźmy tam zatem — warknął starzec, uderzając konia wodzami. — Jedyne co chcę, to tylko przyjrzeć się dobrze temu hombre przez jakieś dwie sekundy, przed moim celownikiem.

— Zaczekaj, Bob — powiedział Woodbine, utrzymując tempo swojego wierzchowca, tak by pozwalało mu na jazdę obok konia starca. — To zepsułoby całą sprawę.

— Jak to? Im szybciej łajdak zginie, tym lepiej dla wszystkich.

— Nie! Jak uważasz, dlaczego zabił Aba i upozorował wypadek?

— Nie wiem. Ale jakie to ma znaczenie, dlaczego to zrobił? Przecież to zrobił, prawda?

— Tak, ale osobiście nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego to zrobił. Muszę wyciągnąć od niego, dlaczego zabił Aba, a tego nie uda mi się dowiedzieć od martwego człowieka.

— Dlaczego musisz się tego dowiedzieć?

— Bo jeśli nie miał własnego powodu, aby zabić Aba, to musiał wykonać robotę dla kogoś, kto taki powód miał. Czy to nie ma sensu?

Bob jechał w milczeniu, zastanawiając się nad tym przez chwilę, zanim odpowiedział. Potem powiedział:

— Tak, to musi być właściwa odpowiedź. Ta sprawa musi łączyć się jeszcze z kimś innym. Ale jak zmusisz go do powiedzenia ci tego, czego chcesz się dowiedzieć? Nie możesz zranić go słabiej niż przywalić młotem kowalskim w głowę lub wsadzić mu kulę w serce. Jak zamierzasz zmusić go do mówienia?

— Nie mam pojęcia — przyznał Woodbine. — Chciałbym to wiedzieć, ale nie wiem. Wiem tylko, że muszę to zrobić, a do tego on musi pozostać przy życiu.

— Synu — oznajmił Bob — próbujesz odgryzać największe kęsy ze wszystkich młodych ludzi, jakich znałem. Pewnego dnia któryś z nich cię zadławi.

— Ja już się dławię — zauważył Woodbine. — Nie mam zbyt wiele do stracenia.

Dyskutowali na temat możliwych powiązań między elementami, które stanęły przeciwko Woodbine'owi, aż w końcu wjechali do zaciemnionego miasteczka, zatrzymali się przy Elite Livery i przekazali swoje zwierzęta Race'owi Greerowi. Greer patrzył na nich dziwnie, gdy Woodbine trzymając w ręku starą strzelbę Shaya, wydawał mu szybkie polecenia.

— Nie rozsiodłuj ich. Tylko je napój i wyjmij im wędzidła z pysków.

Greer pociągnął nerwowo nosem i odparł:

— W porządku, Jim.

Stajennego niemalże rozsadzało napięcie, ale przypomniał sobie, jak Woodbine usadził go rano, kiedy zaczął się wtrącać, i jakoś zdołał utrzymać język za zębami.

Bob zapytał:

— Kto jest w mieście, Race?

To pytanie podziałało jak przekłucie balonu, i strzelający z niego strumień powietrza zaczął gwizdać.

— Wcześniej przyjechali Ludzie Frya i są w Parisian, a kilku nowych ludzi Jima siedzi w Rattlesnake. Jeszcze nic się nie stało.

Na twarzy Woodbine'a pojawił się zimny uśmiech.
— Spodziewasz się, że coś się wydarzy, Race?
— Z tymi wszystkimi rewolwerami stojącymi naprzeciw siebie? — Greer odpowiedział zaskoczony. — Jak mogłoby się nic nie wydarzyć?
— To proste, Race. Jeśli ci ludzie są zawodowymi rewolwerowcami, jak mówisz, to chyba nie zaczną ciskać w siebie ołowiem, wyłącznie dla zabawy? Pewnie byliby najbardziej zadowoleni gdyby wzięli pieniądze i nie musieli w ogóle wystrzelić ani jednego pocisku, prawda? Jak ty byś się czuł na ich miejscu?
— Nigdy nie popatrzyłem na to w ten sposób — przyznał Greer. — Mimo wszystko, ludzie jednak trochę się martwią.
Kiedy szli zaciemnioną ulicą, Bob zauważył:
— Wszyscy w tym mieście są bardziej nakręceni niż sprężyna zegarka dolarowego. Odgłos petardy odpalanej z okazji Czwartego Lipca, poderwałby w tej chwili z łóżek połowę miasta.
Ulica była ciemna, z wyjątkiem kilku przyciemnionych świateł w trzech lub czterech drewnianych domach mieszkalnych oraz oświetlonych okien i drzwi dwóch saloonów. Mijali sklep Merle'a Robersona i Woodbine zatrzymał się. W biurze na tyłach sklepu paliło się słabe światło, a Merle Roberson pracował nad jakimiś dokumentami.
Woodbine sięgnął do kieszeni i wyjął ołowianą kulę.
— Weź ją i karabin Shaya, wejdź do środka i oddaj to wszystko Merle'owi na przechowanie. Powiedz mu o wszystkim, co powiedziałem ci do tej pory.
— Jak to? — spytał podejrzliwie Bob.
— Idę dalej do Parisian, żeby spotkać się z Shayem.
— Pójdę z tobą.
— Nie, nie idziesz. Mogą z tego wyniknąć fajerwerki.
— Właśnie dlatego chcę iść z tobą. W pomieszczeniu pełnym latających kul, człowiek może łatwo zostać ranny.
— Właśnie dlatego nie idziesz. Obaj moglibyśmy zarobić kulkę, a wtedy kto miałby dopilnować, by Moody'ego spotkało to, co powinno? Merle wie o moich podejrzeniach, a kiedy będzie miał dowody w ręku, będzie mógł zebrać grupę porządnych ludzi i poradzić sobie z Moodym, nawet jeśli ja zostanę zastrzelony. No dalej.
— To nie w porządku — odparł Bob.
— Pamiętasz, że Virginia kazała ci się w to nie mieszać? — spytał Woodbine. — Kto by się nią zaopiekował? Poza tym to sprawa osobista między mną a Moodym. Liczę na to, że bezpiecznie przekażesz te dowody w ręce Merle'a. Do zobaczenia później.
Woodbine odwrócił się gwałtownie i ruszył w stronę Parisian Bar, zostawiając starszego mężczyznę burczącego coś do siebie pod nosem, na chodniku. W końcu Bob obrócił się na pięcie i wszedł do sklepu Robersona.
Woodbine nie zwolnił kroku, lecz poszedł prosto do Parisian i pchnął do wewnątrz wahadłowe drzwi. Wszedł do środka, oparł się plecami o ścianę, przyzwyczajając oczy do światła.
Parisian była długim lokalem o niskim suficie, wypełnionym dymem i odorem stęchłego piwa. Podłoga zaśmiecona była niedopałkami

papierosów, zaś stoły i krzesła były poplamione i w kiepskim stanie. Barman pochylał się nad barem, rozmawiając z parą rewolwerowców Frya. Kilku ludzi z miasta siedziało rozproszonych przy barze i stołach, a wśród nich i przy stołach do pokera, widać było kilkunastu lub nawet więcej ludzi Frya, wszystkich dobrze uzbrojonych. Jeden z rewolwerowców podszedł do drzwi i zniknął za nimi.

Woodbine odzyskał wzrok mniej więcej w tej samej chwili, gdy wszyscy w saloonie go rozpoznali. Podszedł do baru. Gwar rozmów w pomieszczeniu przycichł tak bardzo, że słychać było tylko tykanie wielkiego zegara i stukot obcasów butów Woodbine'a. Zatrzymał się przy barze i rozejrzał po sali. Zauważył jednego ze swoich nowych rewolwerowców siedzącego przy stoliku i popijającego drinka z kilkoma ludźmi Frya. Odezwał się do niego.

— Co tu robisz, Shoat? — zapytał.

Chudy mężczyzna z opadającą powieką uśmiechnął się do Woodbine'a.

— Wpadłem na paru swoich starych przyjaciół. Dlaczego pan pyta?

— Już dla mnie nie pracujesz. Wyjedź rano i zabierz swój worek z rzeczami oraz zapłatę.

Mężczyzna tylko uśmiechnął się do niego, a Woodbine odwrócił się w stronę baru.

— Szukam Moody'ego Shaya.

— Nie ma go tutaj — barman possał swój złoty ząb i uśmiechnął się szeroko.

— A gdzie on jest?

— Próbowałeś w Rattlesnake? — W odpowiedzi była ukryta drwina, jakby barman cieszył się na myśl o Moodym Shayu dokonującym inwazji na bar, stanowiący terytorium Woodbine’a. — Powiedział, że wpadnie tam na kilka drinków.

Woodbine rozejrzał się i zobaczył kilka uśmiechniętych twarzy, na które patrzył, dopóki uśmieszki nie zniknęły. Potem odwrócił się do nich plecami, wyszedł i udał się do Rattlesnake, gdzie wszedł do środka.

Rattlesnake był większym i znacznie czystszym lokalem, oraz podobnie jak Parisian, miał swój limit ludzi z miasta wystarczająco ciekawskich, by być poza domem w taką noc, a także dodatek jego własnych płatnych rewolwerowców. Woodbine'owi nie podobał się pomysł wynajmowania rewolwerowców, ale nie miał innego wyjścia w obliczu armii Frya.

Jego wzrok padł na Moody'ego Shaya. Moody stał i rozmawiał z jednym z rewolwerowców Woodbine'a, zwrócony twarzą do drzwi wejściowych, tak że widział Woodbine'a, gdy ten wchodził. Tutaj również szmer rozmów ucichł, kiedy wszedł.

Woodbine nie spieszył się z rozglądaniem po tłumie, a gdy jego oczy przyzwyczaiły się do światła, szybko zauważył jedną wielką różnicę między tym miejscem a Parisian.

Żaden człowiek w tym saloonie nie był uzbrojony. Właściciel, Doc Tudery, trzymał z tyłu baru duży kwadratowy regał z otworami na gołębie, przy czym obecnie te otwory wypchane były pistoletami i kaburami. Na lustrze z tyłu baru znajdował się świeży napis wypisany mydłem, który oznajmiał, że klient musi oddać swoją broń na przechowanie, zanim

zostanie obsłużony. Aby podkreślić wagę tego nowego obwieszczenia, Doc postawił swoją dwururkę z odpiłowanymi lufami, opartą o lustro tuż pod napisem. Doc był spokojnym człowiekiem, który prowadził szanowane miejsce, ale prowadził je porządnie i trzymał kłopoty na wodzy.

Woodbine omiótł wzrokiem pomieszczenie i popatrzył z powrotem na Moody'ego Shaya. Potem spojrzał na niego po raz drugi, żeby się upewnić. Moody Shay nie miał przy sobie broni.

Wydawało mu się nieprawdopodobne, by Moody Shay wszedł do twierdzy wroga i pozwolił odebrać sobie broń.

Woodbine odpiął swój własny pas, przeszedł wzdłuż baru i zatrzymał się jakieś pięć stóp od Moody'ego. Moody przerwał rozmowę z młodym rewolwerowcem Woodbine'a, odwrócił się i uśmiechnął krzywo do Woodbine'a swoimi grubymi wargami. Potem jego wzrok spoczął na broni Woodbine'a, a uśmieszek przerodził się w zimny śmiech.

Woodbine popatrzył na swojego człowieka stojącego z Shayem i polecił:

— Odejdź od baru.

Wysoki młodzieniec wzruszył ramionami, wziął swoją butelkę i szklaneczkę, i usiadł przy jednym ze stolików. Kilku ludzi z miasta usłyszało to i zrozumiało, po czym ruszyło w stronę drzwi, starając się by wyglądało to nieśpiesznie, ale tak naprawdę wychodząc tak szybko, jak tylko mogli.

Tudery podszedł do baru i powiedział:

— Witaj, Jim. Wziąć od ciebie broń?

Pytanie było zadane grzecznie, od niechcenia, lecz Woodbine od razu wiedział, że nie będzie dzisiaj pić w tym saloonie, z bronią u pasa, bo pytanie to stanowiło jednocześnie żądanie.

Woodbine przeszukał pomieszczenie wzrokiem i nie mógł dostrzec niczego nienormalnego. Coś tu jednak było nie tak. Czuł to, choć nie widział, a jego naturalna ostrożność powstrzymywała go na razie przed odpowiedzią Tudery'emu.

W saloonie było może z tuzin ludzi z miasta, siodlarz, handlarz zbożem i paszą oraz jego brat, a także paru innych, którzy byli lub powinni być neutralni w tej walce. Było też siedmiu lub ośmiu jego świeżo wynajętych rewolwerowców. Ci ludzie sprzedali mu swoją broń i przez chwilę nie mógł zrozumieć, że pozwolili się rozbroić w mieście pełnym wrogów.

Szybko jednak uśmiechnął się sam do siebie; przypomniał sobie swoją własną odpowiedź na pytanie Race'a Greera zadane zaledwie kilka minut wcześniej. Oni sprzedawali mu swoją broń, gdy jej potrzebował, ale teraz mieli swój czas wolny i nie byli w pracy, i wiedzieli, że z tego samego powodu ludzie Frya również nie będą szukać bitwy.

Obu stronom płacono za popieranie swoich pracodawców, gdy zaczynały latać kule, i nie miałoby sensu, aby szukali dodatkowych awantur z bronią, tylko dla przyjemności, gdy wszędzie dookoła było tyle do wypicia i rysująca się na horyzoncie najbliższej przyszłości walka na pięści.

Lecz to nie tłumaczyło uśmiechu na twarzy Moody'ego Shaya. I w tym tkwił problem. Moody coś wiedział; w jakiś sposób ustawił się w korzystnej

dla siebie pozycji i delektował się smakiem krwi Woodbine'a, zanim jeszcze ją wypił. Woodbine, z bronią przy biodrze, przyglądał się nieuzbrojonemu Moody'emu i przez chwilę zastanawiał się nad tym.

Potem jego umysł rozebrał sytuację na części i obnażył chytry fortel Moody'ego Shaya. Walka na rewolwery byłaby absolutnie wyrównana, ze wskazaniem na Woodbine'a.

Ale walka na pięści to coś zupełnie innego. Moody Shay przewyższał Woodbine'a wagą o dobre siedemdziesiąt pięć funtów, a jego dwieście pięćdziesiąt były to same kości i mięśnie. Miał tę specyficzną budowę ciała, którą charakteryzowali się zawodowi siłacze i zapaśnicy – był lekki od pasa w dół, za to miał potężny tors zbudowany z ciężkich kości pokrytych pancerzem z grubych, twardych mięśni. Był chłodnym i brutalnym wojownikiem, który nie potrzebował żadnych wskazówek czy motywacji, poza własną nienasyconą, okrutną żądzą okaleczania, rozrywania ludzi na strzępy i niszczenia ich obiema rękoma.

W dodatku Moody Shay miał w sobie silną żyłkę zwierzęcego sprytu. Woodbine wiedział teraz, dlaczego Moody Shay zdjął broń. Człowiek, który wymknął się z "Parisian", przyniósł mu wiadomość o pojawieniu się Woodbine'a, a Moody Shay szybko dostrzegł sposób na zdobycie przewagi nad swoim przeciwnikiem.

Woodbine z bronią u pasa nie mógł rozpocząć walki z nieuzbrojonym człowiekiem. Woodbine musiałby albo zdjąć broń i zmierzyć się z Moody Shayem na pięści, albo się wycofać. A gdyby Shay pozbawił Woodbine'a broni - szeroki, wyzywający uśmiech Shaya obiecywał tłumowi, co wtedy stanie się z Woodbinem.

Tudery stał za barem, czekając na decyzję Woodbine'a. Był człowiekiem statecznym, a jego saloon nie był może prymitywną budą, ale był też tylko człowiekiem. Napięcie, które narosło w mieście, dotknęło wszystkich jego mieszkańców, w tym Tudery'ego. Nie pozwoli tutaj na strzelaninę, lecz ponieważ ta walka przejdzie do historii, Tudery doszedł do wniosku, że warto zaryzykować trochę połamanych mebli i pozwolić, by wszystko rozegrało się u niego. On będzie miał miejsce w loży honorowej, a odrobina reklama ani trochę mu nie zaszkodzi. Tudery cierpliwie więc czekał, aż Woodbine podejmie decyzję.

Zapadła zapierająca dech w piersiach cisza, a ćwierkającego głośno w jakimś ciemnym kącie świerszcza, słychać było w całej sali.

Woodbine odsunął się od baru, odpiął pas i rzucił go na ladę.

— Podaj mi butelkę żytniej — polecił.

W kilkunastu zestawach mięśni napięcie opadło i kilkunastu ludzi usiadło, by cieszyć się walką.

Rozdział 7

Shay dostaje swoją walkę

Woodbine dostrzegł dzikie oczekiwanie w świeżym uśmiechu, jaki pojawił się na twarzy Shaya, gdy Tudery wziął pas i broń ranczera, oraz włożył je do jednego z otworów dla gołębi. Wielki mężczyzna dokończył drinka i otarł rękawem szorstkie usta. Patrzył, jak Woodbine nalewa i wypija szklaneczkę whisky.

— I znowu ty — uśmiechnął się od ucha do ucha Shay. — Wygląda to prawie tak, jakbyś mnie śledził.

— Tak. Tęskniłem za tobą nad Pecan Creek i w Parisian.

— Pecan Creek — powtórzył Shay. — Ostatnio jakoś często mi to powtarzasz. Co chcesz przez to powiedzieć?

— Martwiłeś się, co? Próbujesz się dowiedzieć, ile wiem o morderstwie Aba Sterlinga? No cóż, w końcu mogę ci odpowiedzieć na to pytanie. Wiem już wszystko; kto i dlaczego wynajął cię do zamordowania Aba. Mam też broń, której użyłeś i kulę, którą lekarz wyciągnął z Aba, a która pasuje do twojej amunicji. Wszystko jest już gotowe do tego, aby powiesić cię na pierwszym drzewie.

Moody Shay roześmiał się długo i głośno.

— Jeden drink i zaczynasz mieć zwidy, Woodbine. Ab zginął w wypadku na polowaniu. — Jego twarz na chwilę spoważniała, a spojrzenie wbiło się w twarz Woodbine'a. — Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

— Ab zginął w wyniku nagłego wypadku, zgadza się, ale nie wypadku na polowaniu. Przypadkowo był właścicielem ziemi, którą chciał kupić twój szef. Wpadł w pułapkę zastawioną przez człowieka, który pragnął jego ziemi. Zaczaiłeś się na niego ze swoim starym Kragiem, Shay. Te stare strzelby zawsze były niebezpieczne; twoja będzie dla ciebie przyczyną śmierci.

Spojrzenie Shaya omiotło pomieszczenie.

— Słyszeliście to? — spytał. — Ten człowiek twierdzi, że włamał się do mojego domu i ukradł mi broń.

Poczucie fair play Tudery'ego sprawiło, że na jego ustach pojawiły się słowa przestrogi, a Woodbine popatrzył na niego, gdy mówił.

— Jim, on jest dwa razy większy od ciebie — powiedział barman i sięgnął po swoją oberżniętą strzelbę. — Uważaj na niego!

Woodbine spodziewał się ruchu Shaya i jego spojrzenie już zwróciło się z powrotem w stronę tego człowieka. Dostrzegł, jak mięśnie Shaya napinają się, gdy Moody rzucił się w jego stronę, dokładnie tak, jak się tego spodziewał. Ręka Woodbine'a powędrowała do szyjki butelki whiskey,

i ranczer cofnął się, by mocniej zaprzeć się nogami i uciec przed próbującymi zamknąć go w uścisku ramionami Shaya. Zamachnął się butelką szerokim łukiem i z całej siły machnął nią w głowę Shaya. Rozpęd Shaya nie pozwolił mu uniknąć ciosu, lecz udało mu się nieco uchylić. Butelka wylądowała na zmierzwionych włosach nad czołem wielkoluda, roztrzaskała się na kawałki, a postrzępiony koniec jej szyjki przeorał mu czoło aż do nasady nosa, pozostawiając na skórze czerwone bruzdy przypominające indiańskie znaki plemienne.

Uderzenie pozbawiło Shaya tchu. Odwrócił się i chwycił baru, by się ustabilizować, potrząsając oszołomiony głową, by rozjaśnić mózg.

Tudery odłożył broń na bar z tyłu. Ktoś krzyknął:

— Wykończ go szybko!

Jeden z wynajętych rewolwerowców Woodbine'a wstał i podniósł krzesło. Woodbine dostrzegł ten ruch kątem oka.

— Trzymajcie się od tego z dala, wszyscy — powiedział, po czym odsunął się w tył, aż oparł się plecami o stare pianino.

Ludzie siedzący przy tylnych stolikach rozsunęli się ze swoich miejsc i odepchnęli stoliki pod ścianę, robiąc miejsce do walki. Woodbine sięgnął w dół i podniósł stary, okrągły stołek od pianina, chwytając go za jedną z ozdobnych nóg tuż nad mosiężnym pazurem przytrzymującym szklaną kulę.

Shay otrząsnął się już po ciosie, który zwykłego człowieka pozbawiłby przytomności. Znów zbliżał się do Woodbine’a, tym razem wolniej i z bardziej ograniczonym zapałem, ale wciąż większym niż u kogokolwiek w promieniu stu mil. Miał siłę i odporność na ciosy tysiąckilowego byka, a teraz był bykiem doprowadzonym do szaleńczej furii.

Shay przeklinał, podchodząc do niego, ignorując groźbę użycia stołka od pianina. Gdy Woodbine jednym pociągnięciem wprawił stołek w ruch obrotowy, Moody szybko stanął, okręcił się na nogach i uchylił głowę tak, że cios trafił go w lewe ramię i mięśnie pleców. Obrotowe siedzisko stołka wyleciało z gniazda i potoczyło się przez całe pomieszczenie.

Woodbine musiał się szybko odsunąć, po czym chwycił stołek za dwie nogi, uniósł go wysoko w górę i spuścił go na głowę Shaya. Shay zrobił krok w bok i podniósł lewą rękę, lecz stołek zahaczył mu dłoń i zbił mu rękę w dół, do boku, z trzaskiem łamanych kostek. Shay instynktownie zaczął pocierać prawą dłonią połamaną lewą pięść, a sznury mięśni na jego byczym karku momentalnie napięły się jak struny.

Woodbine po raz trzeci uniósł stołek nad głowę i opuścił go, a jego krawędź ześlizgnęła się po boku twarzy Shaya, po tym jak ten ponownie w ostatniej chwili odsunął głowę, i wylądowała na jego ramieniu. Uderzenie było mocne i przygięło kolana Shaya. Zachwiał się na swoich wielkich stopach, aby utrzymać wyprostowaną postawę, a w tym ułamku sekundy Woodbine zdołał przemknąć się na bok przed frontem pianina, do którego był przyparty.

Mając teraz więcej miejsca, okrążył Shaya, a ten obrócił się na nogach, utrzymując się twarzą do niego. Woodbine chwycił stołek w jedną rękę i bocznymi wymachami, które lądowały gdzie popadnie, zepchnął Shaya

tymi ciosami, tak że tym razem tamten oparł się plecami o bar. Shay wsparł się łokciami na barze, podczas gdy Woodbine zbliżał się do niego.

Kiedy Woodbine znalazł się w jego zasięgu, Shay, podpierając się łokciami, nagle kopnął Woodbine'a w brzuch, odrzucając go w tył przez całą szerokość sali. Woodbine wpadł pod stół.

Shay krzyknął triumfalnie i rzucił się na niego przez pomieszczenie.

— Teraz cię mam!

Woodbine jednak szybko odtoczył się w bok, przewracając stół w trakcie ucieczki przed szarżującym szaleńcem i pozbierał się na nogi pod osłoną innego stołu. Podniósł ze stołu miskę z krakersami i rzucił nią w twarz Shaya. Ciężki pocisk odbił się od głowy Shaya i uderzył w lustro na tyle baru, wysyłając w powietrze deszcz odłamków potłuczonego szkła.

Shay otrząsnął głowę i przetarł oczy. Położył ręce na blacie stołu i przez chwilę opierał na nich ciężar ciała, mówiąc coś do siebie. Otarł rękawem krew z twarzy i odgarnął zakrwawione włosy z oczu, po czym rozejrzał się i wbił w Woodbine'a zwierzęce spojrzenie. Jego wargi poruszyły się, zlizał z nich krew.

Następnie złapał obiema rękami za oparcie krzesła, uniósł je w powietrze i rzucił w Woodbine'a, tak by nogi lecącego mebla utworzyły cztery włócznie zmierzające w stronę głowy ranczera. Woodbine zrobił krok w bok i uchylił się przez krzesłem, złapał za swoje i okrążył stojący między nimi stół. Uniósł krzesło i zdzielił nim z całej siły Shaya. Instynktowna reakcja Shaya polegała jedynie na uniesieniu obu rąk nad głowę, ugięciu ramion i próbie schowania głowy między nimi.

Krzesło walnęło go z całej siły w głowę i rozpadło się w rękach Woodbine'a. Shay zataczając się podszedł do ściany, oparł o nią obie ręce i próbował wyprostować nogi. Woodbine podążył za nim z resztkami krzesła.

Shay odwrócił się w stronę Woodbine'a, ściana wciąż go podtrzymywała, po czym odbił się od niej rękoma i rzucił się na Woodbine'a. Woodbine wyszedł mu naprzeciw z resztkami krzesła w dłoniach. Broń ta trafiła Shaya w usta i podbródek. Shay zachwiał się na nogach i upadł na plecy na podłogę.

Woodbine odsunął się, zaś Shay zaczął się za nim czołgać. Każda normalna istota ludzka byłaby martwa lub przynajmniej nieprzytomna, ale ten byko-człowiek, którego ciało składało się z tak niezwykłych zwierzęcych kości i mięśni, oraz było tak niewrażliwe na ból, zamienił się tylko w ranne i niebezpieczne zwierzę, chwilowo oszołomione, lecz płonące żądzą atawistycznej chęci zniszczenia dręczącego go wroga.

Shay czołgał się przed siebie na oślep, aż wpadł na kolejny stół, którego się złapał i stanął przed nim w pionie, mrugając w stronę Woodbine'a zalanymi krwią oczami. Krew z jego głowy i czoła spływała obficie w dół i oślepiała go, a on uderzał się tylko po oczach zewnętrzną stroną obu dłoni, aby odzyskać jasność wzroku, mamrocząc coś przy tym przez rozbite usta.

Przytrzymał połamaną lewą dłoń przy samej twarzy i próbował zobaczyć, czy jest w stanie otwierać i zamykać palce. Palce nie poruszały się zbyt daleko, a grzbiet dłoni puchł w oczach.

Woodbine odrzucił nogi krzesła od siebie i oznajmił:

— Na razie, Shay, wyrównałem twoją przewagę i zredukowałem cię do moich rozmiarów. Teraz będziemy walczyć.

Ktoś z tłumu powiedział:

— Boże Wszechmogący!

Shay opuścił okaleczoną dłoń i popatrzył na Woodbine'a spod ociekających krwią brwi.

— Taa, teraz będziemy walczyć.

Ciało tego człowieka stanowiło relikt jakiejś prehistorycznej epoki, kiedy ludzie byli bardziej podobni do zwierząt. Miało brutalne instynkty goryla, który prawie nie odczuwał bólu w ogarniającej go morderczej furii. Wystąpił naprzód ze złamaną dłonią uniesioną w gardzie i wielką prawą pięścią.

Woodbine stał w miejscu, kiedy nadleciał cios, odchylając tylko głowę na bok, tak że pięść świsnęła mu koło ucha. Wbił swoją zaciśniętą dłoń w brzuch wielkoluda z siłą, która sprawiła, że z zakrwawionych ust Shaya wyrwało się ze świstem powietrze. Shay zgiął się wpół i zanim Woodbine zdążył unieść jego głowę hakiem od dołu, głowa Shaya trafiła Woodbine'a pod brodę z taką siłą, że aż zagrzechotały mu zęby. Uderzenie odrzuciło głowę Woodbine'a do góry, a drugi szybki cios pięści Shaya trafił go prosto w podbródek.

W pięści Shaya wciąż kryła się siła kopnięcia muła, a ból wywołany ciosem przemknął jak błyskawica od szczęki Woodbine'a przez jego szyję i plecy, paraliżując go i chwilowo obezwładniając.

Zwierzęcy instynkt Shaya doniósł mu natychmiast o uzyskanej przewadze i cofnął się, by zrobić sobie miejsce na zamach. Jego prawa ręka wykonała uderzenie sierpem, który trafił Woodbine'a w bok głowy i spowodował, że obróciło go i poleciał na oślep. Woodbine upadł na stare pianino, a jego łokcie wydobyły z klawiszy serię dysonansowych dźwięków. Stracił równowagę i osunął się na podłogę.

Shay podążył za nim i kopnął go w żebra, gdy Woodbine próbował się odtoczyć. Ranczer złapał desperacko za kostkę swojego przeciwnika i przyciągnął ją do piersi, w efekcie czego stopa Shaya oderwała się od podłogi. Shay zaczął się przewracać, lecz przytrzymał się klawiatury pianina i próbował wyrwać nogę z uścisku Woodbine'a, tak by móc stratować go na śmierć.

Woodbine podciągnął się za nogę Shaya i jakimś cudem stanął na nogi, a kiedy to zrobił, Shay złapał go lewą ręką za szyję i próbował odepchnąć jego głowę do tyłu, by zbić mu twarz na miazgę kolejnymi uderzeniami.

W takim uchwycie przeciwnika Woodbine nie był w stanie dosięgnąć pięściami twarzy Shaya, ale użył ich do zadania szeregu krótkich uderzeń na korpus, które wylądowały pod żebrami potężnego mężczyzny. W miarę jak oddech Woodbine'a robił się coraz krótszy z powodu duszącego uchwytu na szyi, jego ciosy zaczęły wywierać wpływ na już wcześniej ciężko sapiącego Shaya. Oddech Shaya zmienił się w dyszenie, urywane bulgotanie, a po chwili olbrzym już w ogóle nie był wstanie złapać tchu. Woodbine nadal uderzał obiema pięściami w to samo miejsce i stopniowo uścisk Shaya osłabł, a on sam potknął się i zatoczył się do tyłu. Shay

spróbował odwrócić się od Woodbine'a, a jego ręce rozłożyły się, na ślepo próbując uchronić go przed tymi nieznośnymi i nieustającymi uderzeniami w brzuch.

Kiedy Shay odsunął się na tyle, by dać Woodbine'owi miejsce na ruch ramienia, Woodbine zacisnął pięść, uniósł się na palcach i z całej siły uderzył prawym prostym. Cios trafił Shaya prosto w podbródek i powalił go na podłogę, gdzie wylądował w pozycji siedzącej, oparty plecami o bar.

Ból spowodowany ciosem przeszył rękę Woodbine'a aż do ramienia i rozszedł się po plecach. Rozprostował i zacisnął pięść, która była zupełnie odrętwiała.

— Wstawaj, Moody — powiedział. — Skończmy to raz na zawsze! Wstawaj i walcz!

Moody Shay nie ruszył się, tylko siedział na podłodze przed barem z wyciągniętymi przed sobą nogami, spuchnięte usta na jego zakrwawionej twarzy wciąż mamrotały niezrozumiałe jakieś dźwięki, ale nie próbował się podnieść. Jego oczy wpatrywały się gdzieś w przestrzeń niewidzącym spojrzeniem.

Woodbine wypluł krew z ust i powtórzył:

— Wstawaj!

Shay nie ruszył się z miejsca.

— Wstawaj, powiedziałem! — Słowa Woodbine'a padły jak strzał z pistoletu.

Jakieś dźwięki musiały przeniknąć do mózgu Shay'a, ponieważ przetoczył się i stanął na nogi przy pomocy krawędzi lady baru. Spojrzał w resztki lustra na tyle baru i zobaczył swoją zakrwawioną twarz od czoła do podbródka. Krew sączyła się z jego świeżo rozbitego nosa przez opuchnięte usta i szyję, spływając aż na jego brudną koszulę.

Oczy miał tak spuchnięte, że ledwo co mógł przez nie zobaczyć. Potarł dłońmi twarz w geście niedowierzania, a widok jego samego musiał zadecydować o jego dalszych działaniach, ponieważ odwrócił się i pobiegł przed siebie, nie oglądając się na Woodbine'a.

W swym oszołomieniu Shay nie ruszył w stronę drzwi, ale prosto w kierunku dużego, szklanego okna. Musiał nie widzieć szyby, ponieważ nie zatrzymał się, dopóki na nią nie wpadł. Potarł o nią dłońmi, jakby na oślep próbując zidentyfikować co to jest. Potem w panice podniósł krzesło, uderzył nim o szybę, przedostał się na chodnik i zaczął biec.

Przez salę przebiegł chóralny jęk ulgi, spowodowany tłumionym przez cały czas napięciem nerwowym, a jakiś zdumiony głos wykrzyknął:

— Dobry Boże Wszechmogący!

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał, a potem Tudery zaproponował:

— Jim, powinniśmy go złapać, jeśli zabił Sterlinga.

— Nie. Nie jestem jeszcze na to gotowy.

Tudery wyglądał na zdziwionego.

— Ale jeśli zabił Aba...

— Musi mnie doprowadzić do człowieka, który go wynajął.

— Myślałem, że wiesz, kto to był.

— Tak. Ale nie powiedziałem, że potrafię to udowodnić.

Doc Tudery uśmiechnął się.
— Jasne. — Następnie zawołał: — W porządku, chłopcy, ustawiajcie się w rządek i mówcie co chcecie. Wszystko na koszt firmy, przez resztę wieczoru.
Woodbine powiedział:
— Pożycz mi mokry ręcznik z baru, Doc. I wystaw rachunek za szkody. Zajmę się tym.
Tudery podał mu ręcznik, a kiedy Woodbine wycierał krew z twarzy, Tudery zapytał:
— Co powiesz na małego drinka, Jim?
— Nie mam na to czasu — odpowiedział Woodbine. — A jeśli przyjdzie Bob Burnham, powiedz mu, że zobaczymy się później. — Odwrócił się do rewolwerowców, którzy ustawili się przy barze. — Lepiej, żebyście się dzisiaj wcześnie położyli — powiedział. — Rano zaczniemy budowę ogrodzenia.
Następnie odwrócił się i wyszedł z saloonu, poszedł do stajni, wziął konia i wyjechał z miasta. W miarę jak napięcie opadało, pojawiał się w różnych miejscach ból. Mięśnie jego ciała odzyskiwały wrażliwość, a wraz z nią rozpoczęła się reakcja na straszliwą katorgę, jaką przeszły. Twarz miał całą posiniaczoną i zaczęła pulsować z bólu. Żebra bolały go przy każdym wstrząsie spowodowanym ruchem konia, a powstrzymanie rąk przed bezwładnym opadnięciem na boki było nie lada zadaniem.
Dostał straszne lanie, a byłoby jeszcze gorzej, gdyby od początku walki polegał wyłącznie na gołych pięściach. Zastanawiał się wcześniej nad tą kwestią; bez względu na to, jak słuszne mogły być jego racje, sama słuszność byłaby kiepską zbroją przeciwko przeważającej zwierzęcej sile i brutalności Shaya.
To nie był sportowy mecz bokserski, który miał na celu wykazanie wyższości jednego człowieka nad drugim, lecz była to część planu Woodbine'a, aby udowodnić, że Shay jest mordercą i wbić klin między niego a człowieka, który namówił go do morderstwa. I choć nie było to w jego guście, Woodbine czuł się usprawiedliwiony, używając wszelkich środków, które wykorzystał, aby doprowadzić Shaya do takiego stanu psychicznego, w którym mógł on popełnić jakiś błąd, jasno dowodzący winy stojącego za nim człowieka.
Mimo, że to Shay w końcu przerwał walkę, Woodbine był nieco rozczarowany sposobem, w jaki się ona zakończyła, ponieważ wiedział, że Shay nie został pokonany całkowicie, nie ujawnił jeszcze niczego co mogłoby zaszkodzić jemu samemu lub komukolwiek innemu, że nadal był niebezpiecznym człowiekiem pozostającym na wolności.
Woodbine mógł mieć tylko nadzieję, że zasiewając w umyśle Shaya ideę, że wie, kim jest ta druga strona, zasiał ziarno niezgody między wspólnikami zbrodni.
Kiedy wrócił do domu, było już późno, więc nie budził Jessa Hardrackera, tylko szybko położył się do łóżka. Miał za sobą długi i pracowity dzień. Próbował uzyskać pomoc i okazało się, że jej nie otrzyma, ale dowiedział się też paru rzeczy i zaczął warzyć napar, który, jak miał nadzieję, przysporzy Noble'owi Fryowi poważnych kłopotów.

Teraz, gdy przeglądał w myślach wydarzenia dnia, jego umysł dotarł do Virginii Sterling i tu się zatrzymał. Co się między nimi wydarzyło? Zastanawiał się nad tym przez długi czas i położył się spać, wciąż mając w głowie problem mężczyzny, który równie dobrze mógłby poślubić dziką kocicę, i dziewczyny, która równie dobrze mogłaby pocałować kaktus.

Rozdział 8

W garnku zaczyna wrzeć

Kiedy Moody Shay uciekł przed karą Woodbine'a, skierował swego konia w stronę rancza Noble'a Frya. Był poobijanym wrakiem człowieka, który otrzymał karę tak ciężką, że mogłaby ona zabić dwóch lub trzech ludzi o normalnej budowie Zaś obecnie zaczynał odczuwać reakcję na to wydarzenie. Jego cielesny ból był ogromny, lecz przewyższały go piekące myśli, jątrzące się w jego umyśle i popychające go do dalszych działań, mimo że jego ciało potrzebowało odpoczynku oraz wyleczenia ran. Upokorzenie, wściekłość i strach kipiały w tym człowieku i zatruwały jego osądy i resztki zdrowego rozsądku.

Został pobity i wypędzony z miasta przez człowieka mniejszego od siebie, a to upokorzenie nigdy nie mogło zostać zmazane, chyba że wraz ze śmiercią Woodbine'a. Jego wściekłość na Noble'a Frya była jeszcze większa. Dokonał dla Frya morderstwa, a teraz zinterpretował wygłoszone przez Woodbine'a przed walką oświadczenie, jako wyraźny sygnał, że Fry go sprzedał. Słyszał, jak Woodbine wyjawił fakt morderstwa ludziom w mieście, zaś znając szacunek mieszkańców miasta dla starego Aba Sterlinga i szybką sprawiedliwość, jaką szykowali dla niego, pewnie nawet i w obecnej chwili, czuł przerażenie stającym nad nim widmem stryczka i kata.

Te trzy myśli skłoniły Moody'ego Shaya do opracowania prostych planów, jeszcze podczas jazdy. Musiał zdobyć pieniądze od Frya, potem ukarać Frya za doniesienie na niego, a następnie ukryć się gdzieś przed ludźmi, którzy, jak wiedział, będą go szukać.

Dochodziła północ, gdy dotarł do domostwa na ranczu Frya i zaczął krzyczeć pod jego ciemnymi ścianami. Kiedy Fry odpowiedział na jego wołanie, a on zidentyfikował się, Fry zapalił lampę i wpuścił go do środka.

W zaśmieconym salonie Noble Fry stał w samych spodniach i podkoszulku, patrzył na pobitego Shaya i od razu widział, że coś jest poważnie nie tak. Usiadł przy biurku, podsunął Shayowi butelkę whiskey i spytał:

— Jaki cholerny numer tym razem odwaliłeś?

Shay usiadł po drugiej stronie biurka, nalał alkoholu do połowy blaszanego kubka i wypił go, zanim odpowiedział.

— Muszę się stąd na jakiś czas wynieść i potrzebne mi do tego trochę forsy. Lepiej daj mi od razu cały tysiąc, bo mogę nie wracać przez jakiś czas.

— O czym ty mówisz? — warknął Fry. — Mów z sensem.

— Właśnie mówię z sensem. Sprawa się rypnęła. Całe miasto już wie, że wynająłeś mnie do zabicia Sterlinga. W każdej chwili mogą wysłać grupę pościgową i zacząć mnie ścigać, a ja nie będę się tu kręcił, żeby wsadzić dla nich głowę w pętlę.

— Ty skończony głupcze! — warknął Fry. — Jakim sposobem mogliby się dowiedzieć o tej sprawie - chyba że ty im to powiedziałeś? Upiłeś się i wygadałeś się? Kto cię tak pobił?

Moody Shay złapał za butelkę i pociągnął prosto z niej.

— Słuchaj, nie mam czasu siedzieć i gadać o jakichś głupotach. Wszyscy w mieście już wiedzą o wszystkim. Woodbine zakradł się do mojego domu i ukradł moją strzelbę, a kulę znalazł w Abie. Powiedział o wszystkim ludziom. On i ja mieliśmy małą sprzeczkę, z której wyszedłem bez możliwości odzyskania strzelby. Teraz chcę otrzymać pieniądze należne mi za tę robotę, żebym mógł na jakiś czas ulotnić się z okolicy.

Noble Fry stukał niecierpliwie blaszanym kubkiem o biurko, analizując te złe wieści. Po chwili powiedział:

— Jesteś teraz po prostu zdenerwowany. Domysły, że zabiłeś Aba, a udowodnienie tego, to dwie różne rzeczy. W końcu nikt nie widział, jak to zrobiłeś, więc to tylko twoje słowo przeciwko jego słowu.

— Nie opowiadaj mi takich bzdur — odparł Shay ze złością. — Nie minęło jeszcze sześć godzin, od tego gdy sam mi mówiłeś, że moje słowo przeciwko takim ludziom, nie jest nic warte. Teraz twierdzisz coś zupełnie przeciwnego. Nie zostanę tu, by przekonać się, za którym razem miałeś rację. Wycofuję się i chcę moje pieniądze - teraz, w tej chwili.

— No dobrze — wszedł mu w słowo Noble Fry — pamiętaj jednak, że nie taka była umowa. Powiedziałem ci, że zapłacę ci, gdy zdobędę całą tę ziemię wzdłuż koryta rzeki. To jeszcze trochę potrwa, a w międzyczasie nie mam dość gotówki, by zapłacić ci już teraz.

Opuchnięta twarz Shaya poczerniała.

— Chyba nie myślisz, że wymigasz się od zapłacenia mi? — spytał ostrym tonem.

Fry uniósł pojednawczo rękę.

— Oczywiście, że nie. Spokojnie. Zapłacę ci.

— Zapłacisz mi teraz! Płacisz tym rewolwerowcom w gotówce i mnie też tak zapłacisz.

— Tyle że nie mogę teraz tego zrobić, Shay. Po prostu nie mam wystarczająco dużo pieniędzy, by zatrzymać tu tych ludzi na dostatecznie długi okres, by dokończyć robotę i dać jeszcze ci ten tysiąc. Ale dam ci go, zaraz jak tylko załatwię tę sprawę. Wiesz, że nie próbowałbym oszukać przyjaciela.

— Pewnie — odparł Shay. — Zapłaciłeś komuś za strzelenie przyjacielowi w plecy, ale nie oszukałbyś człowieka, który wykonał dla ciebie tę robotę. Wspaniale jest być uczciwym i szanowanym człowiekiem, co panie Fry?

— Jesteś po prostu zdenerwowany. Spójrzmy na to z innej strony. Skąd Woodbine wiedział, że to ja byłem inicjatorem tego zabójstwa?

W oczach Moody'ego Shaya niewiele było obecnie widać pod opuchlizną, ale nagle nabrały one bystrego wyglądu, gdy zobaczył, że Noble Fry martwi się o swoje bezpieczeństwo.

— Podobno udało ci się rozgryźć sprawę pod każdym kątem — odparł. — Rozgryź ją sobie również i pod tym.

— To nie jest właściwa postawa w takiej chwili— naciskał Fry. — Tak jak sam powiedziałeś, obaj siedzimy w tym po uszy. Jeśli mam wymyślić sposób na oczyszczenie nas obu, muszę wiedzieć, z czym musimy się zmierzyć. Co dokładnie powiedział Woodbine?

— A co z moimi pieniędzmi? — odciął się Shay. — W takim razie może najpierw zajmiemy się tym. — Miał teraz Frya na widelcu i zamierzał go tam utrzymać.

— Najpierw Woodbine — powiedział Fry. — On za dużo wie. Nie możemy sobie pozwolić na to, by kręcił po okolicy, gdzie mógłby mówić co mu ślina na język przyniesie, prawda? Poza tym jesteś mu dłużny za to lanie, które ci sprawił — zauważył Fry.

— A kto powiedział, że sprawił mi lanie? Jest tak samo poobijany jak ja.

— Jeśli wciąż żyje, to wątpię — odparł Fry. — Ale wygląda na to, że lepiej będzie, jeśli dopilnujesz, by już więcej niczego nie powiedział.

— Więc chcesz, żebym wykonał kolejną mokrą robotę, mimo że nie zapłaciłeś mi za pierwszą, co? A co z moimi pieniędzmi, Fry?

Fry pokręcił przecząco głową.

— Nie zdołasz mnie wystraszyć, Moody. Powiedziałem ci, kiedy ci zapłacę i dokładnie wtedy to zrobię. A teraz zmykaj stąd, zanim przyjadą cię szukać.

Moody Shay złapał za szyjkę butelkę whiskey, położył drugą rękę na biurku i uniósł butelkę nad głowę.

— Nie bądź głupi — ostudził jego zapały Fry. Z szuflady biurka wyjął rewolwer, którego lufa wycelowana była prosto w twarz Moody'ego Shaya. — Wiesz, że mógłbym cię zabić i wydać tej grupie pościgowej, która jak mówisz podobno się formuje, a oni by mi za to jeszcze podziękowali.

Moody Shay pozwolił by butelka lekko opadła, po czym wziął ją w drugą rękę, napił się z niej i odstawił na stół. Część pewności siebie, którą wybił mu Woodbine, zniknęła na zawsze. Moody Shay nigdy już nie będzie tym samym człowiekiem co wcześniej.

— To mi się już bardziej podoba — mruknął Fry. — A teraz powiedz mi, czy Woodbine wie o mnie na pewno?

— Nie wiem — przyznał Shay. — Ale on wie o wszystkim.

— To nie było specjalnie pomocne. — Fry w zamyśleniu bawił się cylindrem swojego rewolweru. — Spróbuj teraz użyć rozumu, Moody. Musimy działać razem, a nie przeciwko sobie. Wiesz - tak mi przyszło do głowy - Woodbine może tylko zgaduje. Jak miałby udowodnić to, co powiedział?

— Nie mam zamiaru czekać, aby się tego dowiedzieć — odparł Shay. — Zamierzam na jakiś czas się stąd ulotnić. W każdym razie, dopóki twarz mi się nie zagoi i nie będę mógł wrócić, aby ponownie spróbować Woodbine'a. Dopadnę go, nawet jeśli miałaby to być ostatnia rzecz, jaką

zrobię w życiu. Gdybyś tylko dał mi trochę forsy - jestem spłukany a muszę jakoś żyć, dopóki sprawy się nie wyjaśnią.

— To mi się jeszcze bardziej podoba — uśmiechnął się Fry. — Mogę dać ci kilka stówek a konto. Pojedziesz sobie na małą wycieczkę, aż wszystko się uspokoi, a potem wrócisz i coś wymyślimy. W porządku?

— Może tak będzie najlepiej — przyznał Moody. Podniósł butelkę i nalał sobie trochę alkoholu do kubka.

Fry obrócił swój obrotowy fotel w stronę małego żelaznego sejfu w rogu pokoju i pokręcił pokrętłem w przód i w tył, a następnie otworzył żelazne drzwiczki i odblokował mniejsze żelazne drzwiczki do jednej z półek we wnętrzu sejfu.

Moody Shay wstał, chwycił butelkę whisky mocno za szyjkę i uderzył nią w tył głowy Noble'a Frya. Fry zsunął się z fotela i padł między biurkiem a sejfem, a z jego głowy popłynęła krew.

Shay obszedł biurko i znalazł na półce paczkę z pieniędzmi, przejrzał ją i włożył do kieszeni. Ponieważ nie zatrzymał się by zabrać swój pistolet, kiedy opuszczał Rattlesnake Bar przez szklane okno, podniósł teraz broń Frya, zbadał cylinder i włożył ją do kabury.

Stanął nad Fryem, patrząc na niego z góry przez podpuchnięte oczy i stwierdził:

— Powinienem rozwalić ci łeb na miazgę, ale myślę, że lepiej będzie, jeśli pożyjesz trochę dłużej. Może dobrzy ludzie z Ashfork będą zadowoleni, widząc cię na stryczku, skoro nie będą mieli szansy na moją osobę.

Kopnął leżącego bez ruchu Frya w żebra, napił się z butelki, po czym wyszedł i wsiadł na konia.

Minęło trochę czasu, gdy Moody Shay wjechał na polanę przed domem Hugha Amblera i krzyczał, dopóki Ambler nie pojawił się w drzwiach z założonymi spodniami i rewolwerem u pasa, a za jego plecami nie paliło się światło.

— Czego chcesz o tej porze? — spytał z irytacją Ambler.

Shay ześlizgnął się z konia i powiedział:

— Usiądźmy. Musiałem się z tobą natychmiast zobaczyć.

Usiedli obaj na leżącym pniu ściętego dębu, a Ambler czekał. Shay przejrzał swoją historię w myślach, sprawdzając ją, po czym przedstawił ją małomównemu mężczyźnie.

— Właśnie miałem małą rundkę z Woodbinem w mieście i muszę się na trochę stąd ulotnić. Będę potrzebował nieco forsy, żeby mieć na utrzymanie, a biorąc pod uwagę, że wykonałem dla ciebie sporo pracy, powinienem dostać trochę od ciebie. Powiedzmy jakieś tysiąc dolarów.

Ambler zsunął się z drzewa, przeszedł kilka kroków, kopiąc ziemię końcem buta i obracając to wszystko w myślach. Nie śpieszył się z odpowiedzią, po czym zapytał:

— Jak to się stało, że musisz zwiewać tylko z powodu drobnej sprzeczki? Zabiłeś go?

— Nie, ale on przypadkiem natknął się na coś, co mogłoby mi nie wyjść na zdrowie, gdyby o tym opowiedział.

— To znaczy, że znalazł ciało?

— Jakie ciało? Ja nikogo nie zabiłem.
Ambler stwierdził:
— Nie rozmawiasz z tymi głupcami stąd, tylko ze mną, Shay. Czy Woodbine odkrył, że zastrzeliłeś Aba Sterlinga?
— Ja? Zastrzeliłem Aba Sterlinga? Zwariowałeś chyba!
— Ale to właśnie odkrył Woodbine, co?
— No cóż — przyznał Shay. — Uznał, że ma dowody na to, że to zrobiłem, ale ja tego nie zrobiłem. Są jednak ludzie, którzy mogą w to wierzyć.
— Na przykład ja — oznajmił spokojnie Hugh Ambler.
— Chcesz powiedzieć, że uwierzyłbyś Woodbine'owi na słowo?
— Nie — odparł Ambler — ale tak się składa, że widziałem cię, jak go zabijasz.
— Kiedy?
— Kręcę się po okolicy, Shay. Tak się złożyło, że byłem zainteresowany tym, co Fry, Woodbine i Sterling robią tamtego dnia nad potokiem, więc nie spuszczałem z nich oka. Nie krytykuję cię za zabicie Sterlinga. Wspomniałem tylko o tym, żebyśmy się dobrze zrozumieli. A teraz, o co ci chodziło z tym wszystkim?
Moody Shay powiedział sobie w duchu, że powinien wyciągnąć broń i zabić Amblera, ale były trzy rzeczy, które go powstrzymywały. Chciał od Amblera pieniędzy, Ambler miał broń i mógł być w stanie wyciągnąć ją szybciej niż on, a poza tym, jakaś część jego dawnego lekceważącego podejścia do własnego bezpieczeństwa, zniknęła z niego. Czuł w sobie nowy strach i był zły na siebie, że go doświadczał, ale mimo to musiał zmierzyć się z faktem, że miał z nim do czynienia. Nie mógł ryzykować zbrojnej konfrontacji z Amblerem, a wiedząc o tym strachu, musiał też zrezygnować z panowania nad sytuacją na rzecz swojego rozmówcy.
— W porządku, w takim razie wiesz, co wiesz — przyznał niechętnie. — Muszę więc stąd na jakiś czas zniknąć i muszę mieć na to pieniądze. Pomogłem ci przepędzić wystarczająco dużo cudzej wołowiny z tego terenu, byś mógł mi pomóc za tysiąc dolarów.
Hugh Ambler powiedział:
— Więc zdecydowałeś, że zaszantażujesz mnie na tysiąc dolarów, zanim wycofasz się z gry. Dlaczego nie dostałeś ich od Frya?
— On nie jest mi nic winien.
— Przyciśnij go trochę, tak jak próbujesz to zrobić ze mną. W końcu zastrzeliłeś dla niego Sterlinga, prawda?
— Dlaczego tak myślisz?
— Słuchaj, przyjacielu, jesteś taki sam jak wszystkie inne pastuchy na tych ziemiach. Myślisz, że ja nie mam ani oczu, ani mózgu. Mógłbym wziąć patyk i narysować na ziemi mapę tego terenu, a znając ludzi w okolicy, potrafiłbym powiedzieć, czego można się spodziewać po każdym z nich. Wiem o wszystkim co próbuje zmajstrować Noble Fry, tyle samo co i on sam.
— Więc dlaczego go nie pokonasz? — spytał Moody Shay. Dotarło do niego, że nie przypisywał temu człowiekowi tyle sprytu, ile powinien.
Ambler zachichotał.

— Dla inteligentnego człowieka istnieją łatwiejsze sposoby. Niech ktoś inny pójdzie i przygotuje fajerwerki. Wykona brudną robotę i spadnie na niego wina. A kiedy skończy, pojawię się ja i przejmę sprawę. Proste, prawda, Moody?

W głosie Amblera zabrzmiała nutka chełpliwości, a także serdeczności, co ucieszyło Shaya, w świetle nowego szacunku dla umysłu Amblera, jaki się pojawił w jego głowie.

— Coś w tym jest — przyznał Shay.

— A co do pieniędzy — powiedział Ambler. — Nie mam przy sobie zbyt wielu dolarów w gotówce, ale mam pomysł, jak mogę ci pomóc. To znaczy, jeśli masz dość rozumu, by rozpoznać coś dobrego dla siebie, gdy to zobaczysz. Po tym, kiedy Fry dokończy swoją małą gierkę, to ja będę tu najważniejszy i będę miał coś dobrego dla człowieka z twoimi jajami i sprytem.

Shay zastanowił się przez chwilę. Gdyby nie zabił Frya ciosem butelki w głowę, byłby to całkiem niezły sposób, by dorzucić mu jeszcze trochę cierpień, a ponieważ wciąż wierzył, że to Fry sprzedał go, aby uniknąć konieczności zapłaty za jego mokrą robotę, przemawiało to do niego. Żałował, że wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że to Ambler będzie tutaj największą szychą.

— Co miałeś na myśli? — zapytał Amblera.

— Mam w tym małym kanionie około czterdziestu sztuk prawie roczniaków, które chcę przepędzić do Deerlick. Radziłeś sobie już z dwudziestoma pięcioma sztukami naraz; myślisz, że dałbyś radę sam przepchnąć przez góry czterdzieści? W czasie przepędu będziesz trzymać się z dala od widoku, do czasu gdy twoja twarz się zagoi, i będziesz mógł przytaić się w Deerlick, dopóki nie przyślę ci wiadomości, że horyzont jest czysty. Wtedy będziesz mógł wrócić tutaj i pomóc mi zarobić na pracy Frya. A w międzyczasie, jeśli w Ashfork mieliby ochotę kogoś powiesić, to może wyładują się na Fryu i oszczędzą nam problemu zajmowania się nim. Tak czy inaczej, będziemy mogli sprzątnąć każdego, kto byłby dla ciebie niebezpieczny, a cała wina za to spadłaby na Frya. Jak ci się to podoba?

Moody Shay przez dłuższą chwilę rozważał to w myślach i dostrzegł w tym bezpieczeństwo, którego pragnął, zemstę, której chciał dokonać na Fryu, a także przyszły dobrobyt w układzie z mądrzejszym człowiekiem niż Noble Fry.

— Pewnie — zgodził się. — Umowa stoi. Ale chciałbym zacząć jak najszybciej. Chciałbym znaleźć się po drugiej stronie tych gór jeszcze przed świtem.

— Poczekaj, tylko wsiądę na siodło — powiedział Ambler — i pomogę ci rozłożyć sprzęt na szlaku. Jesteś bystrym człowiekiem, Moody, i mogę sprawić, że będzie ci się opłacało związać się ze mną.

— Zawsze uważałem cię za mądrego człowieka — odparł Moody. — Takiego, z którym lubię robić interesy. — Podniósł się na nogi, po czym powiedział: — Swoją drogą, chyba lepiej by było, żebym miał świeżego konia.

— Nie ma sprawy — odparł Ambler i ruszył do swojego konia. Z twarzą ukrytą przed Shayem, pozwolił sobie na uśmiech, myśląc: „Wyobraźcie sobie, że ten przeklęty głupiec przychodzi do mnie i daje mi taką wartościową kartę na przyszłość, w dodatku prosto w ręce. No cóż, będę go trzymał w ukryciu, dopóki nie będę musiał z niego skorzystać, aby strącić pana Frya z konia, a potem trzeba będzie szybko zamknąć mu gębę. Jego długi język jest zbyt niebezpieczny”.

Rozdział 9

W garnku zagotowało się

Moody Shay poganiał kradzione czterdzieści sztuk mieszanej rasy białogrzbietej i krótkowłosej po zarośniętym szlaku, który prowadził przez szczelinę w Ashfork Ridge. W ciemności i ze względu na gęstość zarośli wzdłuż szlaku, młode bydło było łatwe do kontrolowania, a nie miało dla niego większego znaczenia, nawet jeśli by kilka z nich uciekło.

Pomimo obolałego ciała, nastrój Shaya poprawił się po tym, kiedy wraz z Amblerem wyprowadzili stado z kanionu, ponieważ zaczęły przychodzić mu do głowy różne pomysły.

W kieszeni miał grubą paczuszkę pieniędzy, nie wiedział dokładnie ile, bo nie miał jeszcze okazji ich przeliczyć. Miał też czterdzieści sztuk bydła, które powinny przynieść dobrą cenę w Deerlick. Stado to nigdy nie zobaczy rancza Amblera, ale trafi od razu do zagród przy budynku handlowym, a Moody zgarnie niezły dodatek do swojego i tak już grubego portfela. Śmiał się w duchu z Amblera, który uważał się za sprytnego człowieka. Po prostu zgodził się na wszystko, co powiedział mu Ambler i jeszcze trochę mu podchlebił, a Ambler dał mu w prezencie to ładne stado, które pomoże mu w drodze do jakiejś miłej części kraju, gdzie nikt nie będzie go szukał ze sznurem w ręku. Fry i Ambler! Uważali się za takich mądrych ludzi! Moody Shay śmiał się z nich do rozpuku.

Robiło się już jasno, kiedy dotarł na szczyt grzbietu, gdzie szlak zaczynał opadać w kierunku Deerlick. Zatrzymał konia, by dać mu odpocząć i przyjrzeć się zboczu opadającemu ku Deerlick i wolności. Gdy się zatrzymał, usłyszał głos.

— No dobrze, Shay. Po prostu nawet nie drgnij.

Moody Shay zamarł w siodle, po czym napiął mięśnie, przygotowując się do popędzenia konia do przodu, wypatrując właściciela głosu. Po chwili osiadł z powrotem na siodle, a krew w jego żyłach zmroził mu atak nowo odkrytego strachu.

Głos należał do Noble'a Frya, ale sam Fry gdzieś się przed nim schował i Shay nie wiedział, w którą stronę się zwrócić, by go dopaść lub przed nim uciec. W całej tej niepewności nie zrobił nic, podczas gdy cielęta, które prowadził, wędrowały w dół, szlakiem w kierunku Deerlick.

Wciąż był ciemnoszary świt, a w kiepskim świetle Shay nie mógł dostrzec człowieka, którego teraz pragnął zabić.

— Czego chcesz, Fry? — Jego oczy przez cały czas gorączkowo szukały przeciwnika.

— Chcę, żebyś położył ręce na łęku siodła i trzymał je tam, dopóki nie skończymy rozmawiać, Moody. Połóż je tam!

Moody Shay zacisnął obie dłonie na łęku siodła, a potem usłyszał szelest zarośli i Noble Fry wyszedł na ścieżkę jakieś dziesięć stóp przed nim. Fry trzymał go pod lufą karabinu. Fry nie miał nakrycia głowy, a włosy jego czupryny przesiąknięte były zaschniętą krwią.

— To tylko mała rozmowa, Moody. Chcę od ciebie tylko trochę informacji.

Moody odchrząknął i powiedział:

— Słuchaj, Fry, mówiłem ci, że muszę wyjechać z okolicy, a ty mi nie uwierzyłeś. Musiałem mieć pieniądze, a ty nie chciałeś mi ich dać. Na moim miejscu zrobiłbyś to samo, prawda? Poza tym, nie uderzyłem cię mocniej niż musiałem. Chyba nie będziesz miał mi tego za złe, co?

— To zależy, Moody, to zależy. Jak już mówiłem, chciałem z tobą tylko trochę porozmawiać, zanim opuścisz okolicę.

— Jak mnie znalazłeś?

— To nie było zbyt trudne. Po prostu pomyślałem sobie, że nie pojedziesz do swojego domu, lecz pewnie raczej będziesz chciał się trochę połatać i dostać świeżego konia. Ambler był chyba jedynym człowiekiem w kierunku gór, od którego mógłbyś go dostać, więc pojechałem do niego, aby zapytać, czy cię czasami nie widział. Wyobraź sobie moje zdziwienie, Moody, gdy natknąłem się na ciebie i jego jadących razem w kierunku tego kanionu. Nie wiedziałem, że się przyjaźnicie, więc pojechałem za wami. I, co za niespodzianka, obaj razem zebraliście razem to małe stado i ruszyliście w tę stronę. Nigdy bym nie pomyślał, że Ambler może być złodziejem, więc postanowiłem, że po prostu pójdę sobie za wami szlakiem, aż rozdzielicie się i będziecie poza zasięgiem słuchu…

— Masz na myśli wystrzał z rewolweru.

— Powiedzmy, że wystrzał. W każdym razie, powiedz mi coś, Moody. Jak długo to już trwa?

— Nic nie wiem o Amblerze — powiedział Moody. — Powiedziałem mu, że jadę w góry, a on zaproponował, że zapłaci mi za przepędzenie tych cieląt w inne miejsce. Chyba nie chcesz powiedzieć, że zostały skradzione?

— Biedny Moody, ty chyba już nigdy nie dorośniesz, co? Obawiam się, że muszę uznać to uderzenie mnie w głowę za bardzo nieprzyjazny czyn. Chcę wiedzieć, jak długo ty i Ambler kradniecie cudze cielęta na dnie doliny. I nie mów mi, że nie wiesz, że to mieszane stado to kradzione sztuki. Obaj od razu rozpoznajemy linie krwi moich zwierząt, Churchilla, Sterlinga i Woodbine'a. Moody, czy chcesz sprzedać jakieś informacje w zamian za swoje bezwartościowe życie?

— Nic nie wiem, Fry. Szczerze!

— Szczerze! — zadrwił Fry. Był teraz w coraz lepszym humorze, trzymając Shaya pod lufą swej broni. — Szczerze mówiąc, bardzo mi przykro, że muszę cię zabić, ale skoro nic nie wiesz, to nie ma na co czekać.

— Słuchaj — powiedział Moody, a pot wystąpił mu na czoło i spłynął słonymi strużkami po jego twarzy. — Fry, nie miej mi tego za złe. Opowiem ci o Amblerze. Jasne, zbierał cudze cielaki, a ja zgarnąłem kilka,

na które wpadłem i mu je sprzedałem. Zaprowadziłem może sześć małych stad w jego inne miejsce.

— Jakie inne miejsce?

— Ma ranczo z pastwiskami w Deerlick, pod nazwą Deerlick Cattle Company. Ludzie myślą, że jest wielkim ranczerem i kupcem bydła, więc nie są zaskoczeni, gdy na jego działce pojawiają się dziwne oznakowania, oczywiście z odpowiednimi dokumentami sprzedaży. Miałem zamiar się tam ukryć, dopóki to się nie skończy. Potem chciałem naprawdę wrócić i skontaktować się z tobą.

— To miłe, Moody, bardzo miłe. Ale nie mogę sobie pozwolić na to, byś biegał luzem po całym kraju. Język ci się plącze, gdy tylko się wystraszysz, a wygląda na to, że teraz, odkąd Woodbine cię rozpracował, bardzo łatwo cię przestraszyć. Nie, Moody, nie pojedziesz do Deerlick.

— Posłuchaj — wyjęczał Moody z nutką histerii w głosie. — Nie rób tego, Noble. Dokonałem za ciebie tak potrzebnego ci zabójstwa. Zrobię więcej. Zostawię te zwierzęta tutaj, wrócę z tobą i wykończę dla ciebie Woodbine'a. Zajmę się każdym, kogo nie lubisz, tylko nie rób niczego, czego będziesz później żałował.

— Przykro mi, Moody, ale nie jesteś bezpieczny. Myślałem, że trochę cię podręczę, tak jak ty lubisz dręczyć ludzi, ale to nie jest tego warte. Nie podoba mi się to. To tylko robota, którą trzeba zakończyć.

Pociągnął za spust karabinu, a na koszuli Moody'ego Shaya zatańczyła lekko plamka i wystrzelił z niej tuman kurzu. Moody wydał z siebie jakiś nieokreślony dźwięk i zachwiał się w siodle. Ścisnął mocniej łęk obiema rękami, ale te się rozluźniły i spadł bokiem na ziemię, a jego koń odskoczył spłoszywszy się.

Gdy Moody Shay leżał wijąc się na ziemi, Fry oparł karabin o drzewo i podszedł do niego. Przykucnąwszy obok rannego, zapytał:

— Gdzie są pieniądze, które mi ukradłeś?

Shay nie odpowiedział, a Fry przewrócił go na plecy. Właśnie wkładał rękę do kieszeni Shaya, gdy usłyszał wyraźne tętent galopujących koni.

Szybko odsunął się od Shaya, a jego umysł zalała panika wywołana usłyszanymi dźwiękami. Shay wciąż żył i mógł przeżyć, aby opowiedzieć swoją historię. Fry odmierzył wzrokiem odległość do swojego karabinu, konfrontując ją z odgłosem zbliżających się kopyt, a gdy spojrzał potem spekulacyjnie na Shaya, zobaczył swój własny skradziony rewolwer, wiszący u pasa Shaya.

Wziął rewolwer i strzelił z niego Moody'emu Shayowi w głowę, po czym cofnął się w momencie, gdy pierwsi jeźdźcy z grupy pojawili się na szlaku. Byli to Burnham i Woodbine, a za nimi Fry zobaczył Race'a Greera i kilku innych mieszkańców miasteczka. Stał i czekał, aż się zbliżą, szybko tworząc sobie w myśli zarys historii wydarzeń.

Gdy Woodbine i Burnham zsiedli z koni, Fry zaczął zastanawiać się nad szczegółami tego, co miał im opowiedzieć. Nie mógł teraz odebrać pieniędzy, ponieważ obawiał się, że ich posiadanie mogłoby go powiązać z Amblerem i skradzionym bydłem.

Merle Roberson, znając napięte stosunki między pozostałymi dwoma ranczerami i Fryem, działał jako rzecznik.

— Co się stało, Noble?

— W końcu złapałem Moody'ego — powiedział Fry. — Od dłuższego już czasu podejrzewałem go o podskubywanie mojego stada, więc zatrudniłem go, aby mieć na niego oko. Przyjechał dziś wieczorem do domu, zmienił konia i odjechał. Ruszyłem za nim i zobaczyłem, jak zabiera ze swojego korralu jakieś niewielkie stado cieląt, które najwyraźniej zbierał sztuka po sztuce, i kieruje się w tę stronę. Wyprzedziłem go bokiem i czekałem na niego tutaj, aby złapać go z kradzionymi zwierzętami. No cóż, wymieniliśmy parę słów, a potem trochę postrzelaliśmy i oto wynik. Powiedziałbym, że wyświadczyłem przysługę wszystkim sąsiadom z okolicy.

Merle Roberson ostrożnie dobierał słowa.

— Myślę, że oszczędziłeś nam nieprzyjemnej roboty.

— Poszukiwaliście go? —zapytał Fry z wyrazem zaskoczenia na twarzy. — Za co?

— Chcieliśmy z nim porozmawiać o zabójstwie Aba Sterlinga. Wygląda na to, że to on to zrobił.

Fry mruknął.

— Ohydny skunks. Cóż, to załatwia sprawę.

— Teraz, kiedy go już zabiłeś, to co zamierzasz z nim zrobić? — spytał Roberson.

— Jeśli o mnie chodzi, to może sobie leżeć tam gdzie leży. Niech mnie diabli, jeśli miałbym go pochować po tym, jak mnie okradł.

Woodbine siedział przykucnięty na butach nad ciałem Shaya.

— Zabierzemy go na dół, gdzie znajdziemy jakieś narzędzia do kopania i pochowamy go — powiedział, nie patrząc na Frya. — Chciałbym przejrzeć rzeczy, które wiózł przez góry.

Fry schował rewolwer za pas i poszedł po swój karabin.

— To ja sobie jadę, skoro wy chłopcy przejmujecie dowodzenie.

Roberson skinął głową i poszedł obejrzeć ciało Shaya, podczas gdy Noble Fry poszedł do lasu, zabrał konia i zjechał ze wzgórza.

Woodbine zbadał ranę w głowie i klatce piersiowej Shaya. Przez dłuższą chwilę patrzył znacząco na Boba, po czym wstał.

— Równie dobrze możemy się rozejrzeć, co tu jeszcze znajdziemy w pobliżu. Ciekawe, gdzie jest jego koń?

Znaleźli konia Shaya, który przebiegł jakieś sto stóp i zatrzymał się, by paść się w trawie. Woodbine podszedł do zwierzęcia, poklepał je po nosie i złapał za wodze. Odwrócił się do starego Boba, który szedł za nim.

— Widziałeś kiedyś tego konia?

— Nie jest Moody'ego — odpowiedział Bob.

— Nie. To siodło Moody'ego, ale koń należy do Hugha Amblera. To nie jest koń zwykle używany Amblera, ale zabiera go ze sobą na spędy.

— Jasne, teraz sobie przypominam — powiedział Bob i ponownie obejrzał konia. — Moody mógł go ukraść.

— Poproś kogoś, by poszukał zwierząt, które prowadził.

Race Greer i kilku innych ludzi ruszyli szlakiem po drugiej stronie szczeliny i po chwili wrócili z około trzydziestoma roczniakami i młodszymi cielakami, które wszyscy zbadali.

— Mają na sobie mniej więcej każdy znak z rancz wzdłuż potoku — stwierdził Woodbine — i kilka znaków gospodarstw położonych z dala od dna doliny. Wszystkie przerobione na D w C. Ciekawe, czyj to znak?

— Zapędźmy je do mnie i przetrzymajmy do czasu, aż uda nam się zwrócić je właścicielom — zasugerował Woodbine. — Lepiej załadujmy Moody'ego na jego konia.

Pod wpływem nagłego impulsu Woodbine przykucnął i przeszukał kieszenie Moody'ego. Wyciągnął duży zwitek banknotów, który Moody zabrał z sejfu Frya. Bob zagwizdał, a Merle Roberson wyciągnął rękę po pieniądze i obejrzał je.

— Dwa tysiące dolarów — powiedział po przeliczeniu pieniędzy. — Na razie schowam je do sejfu.

Przywiązali ciało Moody'ego do jego konia, zagonili młode bydło i ruszyli zboczem góry w dół, z powrotem do doliny. Woodbine, Bob Burnham i Merle trzymali się z tyłu.

— Jak myślisz, co to wszystko oznacza? — zapytał Merle.

— Po prostu wszystko się poplątało — odparł Woodbine. — Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby coś tak bardzo namieszało w stanie rzeczy, jak to.

— Dlaczego? — zapytał Bob. — To przecież usuwa jednego człowieka z sytuacji.

— I wprowadza kolejnego — przypomniał mu Woodbine. — Do tego całe mnóstwo nowych pytań porozrzucanych po całej górze.

— Tak — przyznał Bob. — Na przykład, dlaczego Moody miałby nagle wejść w posiadanie jednego z koni Amblera, chyba że go ukradł. I skąd wziął ten zwitek pieniędzy?

— Na to ostatnie pytanie mogę odpowiedzieć — powiedział Merle Roberson. — Na zwitku jest wciąż niebieska opaska, którą założył bank. Miałem te pieniądze u siebie w sejfie i zrealizowałem przy ich pomocy czek dla Frya. Jeśli sejf Frya był otwarty, Moody mógł mu je ukraść.

— Dlaczego w takim razie Fry nie wspomniał, że Moody go okradł? Musiał z jakiegoś powodu nie chcieć odebrać tych pieniędzy.

— Być może dlatego, że zamordował Moody'ego, aby zamknąć mu usta — zauważył Woodbine. — Moody został postrzelony dwukrotnie, raz ze strzelby i raz z rewolweru, który Fry trzymał w dłoni. Oba otwory po kulach nie są tej samej wielkości. I jak pamiętacie, między tymi dwoma strzałami był pewien odstęp czasu. Jeśli o mnie chodzi musi to oznaczać, że Fry strzelił do Moody'ego i zranił go, być może po to, by odzyskać pieniądze, a potem, gdy usłyszał nasze konie, strzelił do niego ponownie, by upewnić się, że Moody naprawdę nie żyje, i nie będzie mógł zaprzeczyć historii opowiedzianej przez Frya. Powiedziałem Shayowi, że wiem, kto go wynajął do zabicia Aba, sądząc, że poleci do tego człowieka, albo żeby go ostrzec, albo żeby go dopaść za ujawnienie faktu zabójstwa. Wygląda na to, że Shay tak właśnie zrobił. Pieniądze łączą ich ze sobą, to prawda, ale ciągle nie dowodzą, że to Fry wynajął Shaya do zabicia Aba.

— Zaś koń łączy Moody'ego z Amblerem — myślał na głos Roberson — ale nie łączy Amblera z Fryem i nadal nie mamy pewności, że to Moody

ukradł te cielaki. Ta sprawa pogarsza się z każdym wypadkiem, kiedy odkrywamy coś nowego.

— To pokazuje nam, że w naszej okolicy nie wszystko jest takie słodkie i przyjemne — stwierdził sucho Woodbine. — Zacząłem od prostego ogrodzenia kawałka ziemi. Jeszcze nawet nie zacząłem budować płotu, a im dalej w to brnę, tym bardziej wygląda na to, że zanim zapanuje u nas spokój, będę musiał wsadzić za ogrodzenie coś więcej niż bydło.

Dotarli do rozwidlenia szlaków i Woodbine zatrzymał konia.

— Spójrzcie — powiedział, wskazując na szlak skręcający w prawo. — Te cielęta przyszły stamtąd. Ten szlak prowadzi do brodu przez potok i dalej do posiadłości Amblera. Nie przyszły z okolic domu Moody'ego, jak to twierdził Fry.

Pozostali dwaj mężczyźni podjechali do niego, zweryfikowali kierunek śladów racic i przedstawili swoje uwagi.

— Mam zamiar dowiedzieć się gdzie te zwierzęta były ukrywane — powiedział Woodbine. — Zabierzcie ciało Moody'ego do mojego domu i poproście doktora Ellisa, by sprawdził te dwie rany i zachował kule, jeśli znajdzie je w zwłokach. Te cielaki wpuśćcie do mojej dolnej zagrody. Przyjadę, jak tylko zobaczę, dokąd prowadzi ten trop.

Rozdział 10

Biznesowa transakcja

Woodbine nie miał trudności ze śledzeniem drogi stada cieląt i przed godziną dziewiątą przekroczył potok oraz dotarł szlakiem do zagrody w zalesionej części ziemi Amblera, w której przetrzymywane były cielęta, na czas by pierwotne oznakowanie zostało na nich zatarte, a ślady po nowym uległy wygojeniu. Teraz brama zagrody stała otworem, a sama zagroda była pusta, więc nie było niczego, co mogłoby powiązać Amblera ze skradzionym bydłem, z wyjątkiem śladów stada prowadzących z tej kryjówki.

Woodbine ze sporą satysfakcją mógł jednak potwierdzić, że Ambler brał udział w kradzieży bydła razem z Moody'm Shayem, a Noble Fry, który mógł wyciągnąć tę informację z Shaya przed zastrzeleniem go, uchwycił się tego przestępstwa i powiedział im o nim, aby odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia. Zwykle taka informacja byłaby satysfakcjonującym usprawiedliwieniem dla Frya, uzasadniającym zastrzelenie Shaya. Lecz dla Woodbine'a nie była to pełna odpowiedź, ponieważ Fry nie wspomniał o brakujących pieniądzach. Nagle do Woodbine'a dotarło, że powodem tego mógł być fakt, że były to pieniądze, które Shay otrzymał od Frya albo jako zapłatę za zabicie Aba, albo jako wymuszony haracz, za utrzymanie tego czynu w tajemnicy.

Woodbine jeszcze raz przeanalizował cały zagmatwany zestaw znanych sobie faktów i stwierdził, że jego przypuszczenia miały co prawda sens, ale były to tylko przypuszczenia i nie mogły stanowić wystarczającego dowodu, do konfrontacji z Fryem.

Kiedy siedział na koniu przed pustą zagrodą, próbując poskładać wszystko do kupy, podjechał do niego Hugh Ambler.

Ambler zatrzymał się przed nim i w milczeniu czekał, aż Woodbine odezwie się jako pierwszy. Woodbine powiedział:

— Dobry. Właśnie jeździłem po okolicy w poszukiwaniu zabłąkanego bydła.

— Pomyślałeś, że może trzymam jakieś twoje sztuki w mojej zagrodzie? — spytał Ambler.

— Zadałeś to pytanie w nieco napastliwy sposób, prawda? O co chodzi? Denerwujesz się czymś?

Ambler uśmiechnął się zimno.

— Dlaczego miałbym się czymkolwiek denerwować? Zawsze interesują mnie ludzie jeżdżący po moim terenie. Mam tu u siebie całkiem niezłe stado.

— Rozumiem — odpowiedział Woodbine. — Ładną masz tu zagródkę.
— Czy przychodzi ci do głowy jakiś konkretny powód, dla którego nie powinienem mieć zagrody?
— Nie — przyznał Woodbine.
— Czy jest coś jeszcze, czego chcesz na mojej ziemi?
— Tak. Nie widziałeś się ostatnio z Moodym Shayem, prawda?
— Nie i raczej nie będę się z nim widział. Nie podoba mi się kolor jego koszuli.
— Myślałem, że był twoim przyjacielem.
— Nie moim. Dlaczego tak mówisz?
— Brakowało ci ostatnio jakichś zwierząt? — odpowiedział pytaniem na pytanie Woodbine.
— Nic mi o tym nie wiadomo. Dlaczego? Myślisz, że Shay zbyt swobodnie macha lassem?
— Ktoś jednak musiał to robić, Ambler. Tak się złożyło, że odzyskaliśmy trochę inwentarza z trefnym oznakowaniem. Część była moja, część należała do różnych sąsiadów. Ale żadna sztuka nie należała do ciebie, Ambler. Tylko koń Moody'ego, na którym jechał kiedy pędził zwierzęta. Wpadnij kiedyś do mnie do domu i odbierz go sobie.
Woodbine zawrócił konia i zaczął odjeżdżać. Ambler zawołał za nim.
— Chwileczkę. Mówisz, że złapaliście Moody'ego?
— Chyba nie myślisz, że pozwoliliśmy mu jechać dalej z tym stadem?
— Nie mów — odparł Ambler z wyrazem zaskoczenia. Spekulacyjnie postukał pięścią w łęk siodła. A potem dodał: — Co miał do powiedzenia? Pewnie próbował się jakoś wykręcać.
— No cóż — stwierdził powoli Woodbine, obserwując twarz Amblera, — wiesz, jaki jest Moody. Dosyć twardy klient, dopóki się nie przestraszy, a wtedy jego szczęki zaczynają pracować jakby były zamontowane na łożyskach kulkowych. Wpadnij do mnie na dół i odbierz kiedyś swojego konia, Ambler.
Woodbine odwrócił się plecami do mężczyzny i odjechał szlakiem. Ambler siedział wpatrzony w niego, z ustami rozchylonymi w kącikach. Kiedy las pochłonął jeźdźca, Ambler mocno uderzył pięścią w łęk siodła.
— Niech szlag trafi tego wielkiego, pyskatego wołu — zaklął. — Powinienem był zamknąć na zawsze tę jego gębę, zeszłej nocy. Co on mógł im powiedzieć?
Woodbine wyjechał z ziemi Amblera i ruszył wzdłuż potoku do domu Enosa Churchilla, gdzie zastał starego człowieka koło korralu, przyglądającego się, jak para jego ludzi łamie ogiera do jazdy. Woodbine opowiedział mu o swojej wizycie u Amblera poprzedniej nocy, o walce z Shayem i o wszystkich rzeczach, które wydarzyły się tego ranka, między innymi o tym, jak śledził trop stada cieląt do zagrody na ziemi Amblera oraz o kolejnej rozmowie z samym Amblerem.
Starzec usiadł na pniaku i rozmyślał przez dłuższą chwilę, a jego ramiona zdawały się opadać.
— A więc Ambler jest złodziejem — stwierdził ze znużeniem. — Powiem, że nie jestem tym specjalnie zaskoczony. Nigdy nie podobało mi się jego spojrzenie. Ma zbyt bezczelny wyraz twarzy.

— Nie ma decydującego dowodu przeciwko niemu — przyznał Woodbine. — Ale to wszystko się łączy. Niektóre sztuki są twoje. Przechowuję je u siebie, do czasu zakończenia sprawy. Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć.

Starzec znów przez dłuższą chwilę milczał, a potem powiedział:

— Jestem starym człowiekiem i miałem nadzieję dożyć reszty moich dni w spokoju, lecz wygląda na to, że nie będę miał na to szansy. Jeśli będziesz mnie potrzebował, Jim, wezwij mnie.

— Nie wiem, co mógłbyś na razie zrobić, ale dzięki. Próbujemy to wyjaśnić. — Po chwili namysłu powtórzył: — Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć.

— Tak — odparł starszy mężczyzna. — Amy się z nim spotykała. Nie chciałem tego, ale i tak to robiła. Wiem, że to robiła. Biedne dziecko, nie ma matki i jest bardzo samotna. Będę musiał jej powiedzieć.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu — powiedział Woodbine — to może dobrze by było, gdybyś na razie nic jej o tym nie mówił. Dopóki sprawa nie zostanie udowodniona, w ten czy inny sposób, nie pomogłoby nam, gdyby on się dowiedział, że za bardzo się nim interesujemy. Chcę zdobyć więcej informacji o tej jego działalności w Deerlick. To mogłoby nam powiedzieć o nim znacznie więcej.

Starzec wstał ze wszystkimi oznakami wieku i ruszył w stronę domu.

— Ona po prostu nie może się z nim więcej widzieć — powtórzył. — Nie mogę pozwolić na to, by moja córka spotykała się z takim człowiekiem.

Woodbine wsiadł na konia i odjechał w stronę swojego domu.

* * * *

Po tym, jak Woodbine zostawił go w ukrytej zagrodzie, Hugh Ambler długo siedział na koniu, z jedną nogą zaczepioną o łęk siodła, a jego umysł krążył wokół tego, co usłyszał. Wiedząc, że Moody Shay ma skłonności do tego by zbyt wiele mówić, przyjął oświadczenie Woodbine'a o tej słabości Moody'ego Shaya za dobrą monetę i założył, że po swoim schwytaniu Moody wyśpiewał Woodbine'owi o ich umowie. Lecz myśląc o tej rozmowie, zdał sobie sprawę, że nie udało mu się wyciągnąć z Woodbine'a zbyt wielu informacji. Woodbine nie powiedział, ani co go skłoniło do pościgu za Moodym, ani kto jeszcze był razem z nim w grupie pościgowej, ani co zrobili z Moodym po jego schwytaniu.

Ambler uważał się za uważnego i dalekowzrocznego człowieka i nie przypisywał tej wpadki nieostrożności, lecz faktowi, że wiadomość tak bardzo go zaskoczyła; że w czasie gdy próbował z nią się oswoić, Woodbine zawrócił już konia i odjechał. Brak wiedzy, czy Moody żyje, by zeznawać przeciwko niemu, był złą rzeczą; zagrażało to wprost jego bezpieczeństwu. Musiał koniecznie zamknąć usta Moody'emu, kiedy tylko będzie mógł to bezpiecznie zrobić.

Kiedy rozmyślał dalej nad niedawno zakończoną rozmową, nagle dotarło do niego, że Woodbine przyłapał go na jawnym kłamstwie, kiedy stwierdził, że nie zginęło mu żadne z jego zwierząt. Ludzie zdawali sobie przecież z tego sprawę, że gdyby jakiś jego koń wierzchowy został

skradziony ze stajni, to on musiałby o tym wiedzieć. A takie kłamstwo działało zdecydowanie przeciwko niemu. Nie mógł przecież twierdzić, że zupełnie niewinnie pożyczył konia Moody'emu, ponieważ już wcześniej mówił, że nie widział tego człowieka i że go nie lubi. Jego instynkt i wiedza o tym, że Woodbine i Fry, dla którego pracował Moody, skakali sobie do gardeł, ostrzegały go, iż chodzi o tu coś znacznie więcej, niż wydawałoby się to na pierwszy rzut oka, on zaś nie był człowiekiem, który widzi nad głową chmurę burzową i nie przygotowuje się na nią.

Spojrzał na zegarek, po czym zawrócił konia i przejechał około dwóch mil do małej polany w kępie sosen, w niewielkiej odległości od brzegu potoku, i tutaj znalazł Amy Churchill, tak samo jak spotkał ją pewnego ranka, kilka miesięcy temu, a potem przy okazji spotkań lub wzajemnego oczekiwania na spotkania, w czasie wielu poranków i popołudni jakie upłynęły od tego dnia.

Miała w zwyczaju przyjeżdżać tu ze swoją strzelbą kalibru 22 i zostawiać konia na polanie, na czas gdy polowała na wiewiórki w orzesznikach i hikorach, a potem wracała tu, by odpocząć. Ambler znalazł ją siedzącą na kłodzie drzewa, z leżącą na ziemi torbą wypełnioną trzema porannymi wiewiórkami i strzelbą opartą o kłodę.

Zsiadł z konia i usiadł obok niej, przygotował sobie papierosa i wypalił go, zanim się odezwał. Potem powiedziała:

— Zachowujesz się, jakby spadła na ciebie góra, Hugh. Co się z tobą dzieje?

— Nic. Przepraszam. Chyba po prostu zamyśliłem się. Ostatnio dużo rozmyślam.

— Ja też — uśmiechnęła się dziewczyna. — Ale zbyt dużo myślenia do niczego nie prowadzi. Tylko źle wpływa na trawienie.

Ambler nie zareagował na próbę żartobliwego potraktowania jego słów, lecz ponownie zamilkł.

— No dobrze, powiedzże coś — ponagliła. — Wyrzuć to z siebie.

— Nad tą okolicą zbierają się chmury — powiedział — i to mnie smuci. Nie lubię na to patrzeć.

— To może skończyć się na niczym — odpowiedziała.

— Raczej nie! Woodbine już dwukrotnie przychodził do mnie po pomoc, ale musiałam mu odmówić. Nie lubię rozlewu krwi.

— Jesteś jak mój ojciec, Hugh. On też odmówił udziału w tej sprawie.

— Naprawdę? — Ambler zapytał nie okazując widocznego zainteresowania. — Wydaje mi się, że przez to Woodbine siedzi niemal sam na gałęzi, a Fry jest gotów odciąć tę gałąź za nim. To nie w porządku.

— Mnie też jest go żal.

— Dużo myślisz o Woodbine, prawda, Amy? — Spojrzał na nią bystro, a ona zrozumiała i zastanowiła się nad sensem jego spojrzenia.

— Och — odparła z nutą nieśmiałości — on mnie dosyć mocno lubi. Nie jest zły.

Ambler przypomniał sobie ostrzeżenie Woodbine'a na temat dziewczyny, przeanalizował je w myślach i nie spodobały mu się nasuwające się wnioski.

— Będzie wojna — oznajmił — i będą ginąć ludzie. Nikt nie może pozostać z boku. Fry ma wielu rewolwerowców, a z tego, co wiem, Woodbine też może mieć kilku swoich, albo zamierza ich zdobyć. Będą się nawzajem wykańczać, aż z obydwu z nich niewiele zostanie. Wtedy ktoś może wkroczyć i przejąć ziemię, o którą walczyli.

— Czy to właśnie chcesz zrobić, Hugh?

— Ktoś i tak ją przejmie. Twój ojciec nie chce się rozwijać, a ta dziewczyna po drugiej stronie potoku nie jest w stanie jej zająć i utrzymać. Zaś ci mali ludzie żyjący w większej odległości nie mogą wiele z tym zrobić. Ja potrzebuję więcej ziemi. Dlaczego więc nie miałabym jej wziąć?

Dziewczyna przyglądała się stojącemu przed nią człowiekowi i dostrzegła w nim nowe rzeczy, ponieważ w jego oczach pojawił się żarliwy i jasny blask, coraz gorętszy w miarę jak przedstawiał jej całą sprawę.

— Dlaczego mówisz mi o tym? — spytała.

— Opowiadałaś mi, jak bardzo byłaś samotna i znudzona, jak ponury był twój los. No cóż, mam więc sposób na to, abyś zobaczyła prawdziwe życie, zanurzyła się w nim po uszy, stała się jego częścią. Życie to zawsze walka, bitwa, w której wygrywa silny człowiek. Zamierzam włączyć się do tej walki we właściwym czasie i chcę byś stała u mego boku. Amy, zwlekałem z tym dotąd, ale chciałbym, żebyś za mnie wyszła. Teraz, dzisiaj wieczorem. Musiałaś przecież wiedzieć już od jakiegoś czasu, co do ciebie czuję.

Oświadczyny były dla dziewczyny pewnym wstrząsem. Hugh Ambler wydawał jej się atrakcyjny i nie była pozbawiona świadomości, że jego pocałunki były w stanie ją podniecić, ponieważ ostatnio często ją całował. Wyobrażała sobie czasami, jak bierze ją w ramiona, w świetle księżyca, i w przerwach pomiędzy pocałunkami wyszeptuje słowa swych oświadczyn. Zamiast tego pojawiły się one jak jakaś oferta biznesowa w handlu bydłem i od razu dostrzegła, że nie stało się to tak nagle wskutek jego miłości do niej, lecz bezpośrednio w efekcie narastających w okolicy kłopotów. Hugh Ambler, jak od razu zrozumiała, starannie układał swoje plany, aby skorzystać na rozlewie krwi, którego się tutaj spodziewał, i chciał pozyskać po swojej stronie siłę domu jej ojca. Jego propozycja małżeństwa była jedynie środkiem do tego celu. Była na niego wściekła, lecz starała się ukryć przed nim swój gniew.

Podniosła się z trudem na nogi, a usta jej drżały.

— Dziękuję za propozycję, Hugh, ale będę musiała porozmawiać o tym z moim ojcem.

Hugh również wstał z leżącego drzewa i próbował wziąć ją w ramiona, ale ona oparła dłonie o jego klatkę piersiową i odepchnęła go. Trzymał ją jednak mocno.

— Jesteś zła — powiedział. — Wiem, co myślisz, ale nie osądzaj mnie jeszcze. Pozwól mi dokończyć to, co chciałem powiedzieć. Wiem, że twój ojciec nie darzy mnie szczególną sympatią. Dlatego zasugerowałem naszą ucieczkę i ślub dzisiaj wieczorem. Wiem, że kiedy mnie lepiej pozna, zmieni swoje zdanie o mnie. A to da mi szansę, by stanąć u jego boku i walczyć w jego obronie, jeśli kłopoty się rozleją szerzej.

Wyrwała mu się z ramion.
— A tobie da moralne wsparcie w postaci jego dobrego imienia oraz nadzieję na to, że będziesz mógł go wykorzystać do złupienia naszych sąsiadów, kiedy będą już na tyle mocno sponiewierani, że będziesz mógł wkroczyć do akcji. — Wodze, którymi próbowała powstrzymywać swój gniew, wyślizgiwały jej się z rąk.
Hugh Ambler uśmiechnął się do niej i pokiwał smutno głową.
— Amy, jesteś bardzo podekscytowana. Nie jestem aż tak biedny, by dożynać trupom gardła, jak wydajesz się myśleć. Spodziewałem się raczej, że kupię ziemię od strony, która przegrała i może chcieć się wynieść z tych okolic. Nie mówiłem ci o tym, bo wolałem myśleć, że kochasz mnie tylko dla mnie samego, lecz faktem jest, że nie jestem biedakiem na małym ranczu. Mam inną posiadłość, dużą posiadłość, w Deerlick. Kupiłem ją tutaj w ramach programu ekspansji, gdyby spodobało mi się w tych stronach. Chcesz się wyrwać z samotności, na którą tutaj cierpisz. Wyjdź za mnie i zamieszkajmy w Deerlick. Znajdziesz tam ludzi, tańce, społeczeństwo i rzeczy, za którymi tęsknisz. Co ty na to, Amy? Będziemy mieli dużo ziemi, będziemy wielkimi ludźmi, ważnymi ludźmi.
— A ponieważ mój ojciec jest stary, więc i tak będziesz miał trzy rancza, nawet jeśli nie skorzystasz na kłopotach Jima Woodbine'a. To byłaby dla ciebie piękna sprawa, co? Przykro mi, ale obawiam się, że nigdy się nie rozumieliśmy, Hugh.
Odwróciła się, podniosła strzelbę i złapała pasącego się konia. Hugh Ambler dostrzegł, że odczytała intrygi w jego słowach i że źle ocenił tę niespokojną i nieszczęśliwą dziewczynę. Wiedział już, że jego plan poślubienia dwudziestu działek ziemi Enosa Churchilla spalił na panewce. Zdawał sobie również sprawę z tego, że nie będzie w stanie zmusić Enosa Churchilla, by stanął za nim, tak jak planował, jeśli dopadną go kłopoty. Był przekonany, że taki bieg spraw nie był jego winą, tylko po prostu niefortunnym obrotem losu, w złym czasie. Takiemu fatalnemu zbiegowi okoliczności mógł zaradzić tylko człowiek tak mądry jak on.
Patrzył, jak dziewczyna dosiada zwierzęcia i zawraca je, nie oglądając się w jego stronę. Podniósł trzy martwe rude wiewiórki i zawołał za nią.
— Zostawiłaś swoją zwierzynę, Amy.
— Weź ją sobie — rzuciła mu przez ramię. — Pewnie znajdziesz jakiś sposób na to, aby ją wykorzystać. — Potem zniknęła w lesie.
Hugh Ambler wrócił do swojego konia i skierował go do domu, gdzie wiedział, że będzie musiał zająć się opracowaniem nowego zestawu planów. Sprawy toczyły się teraz szybko, a on nie miał zamiaru zostać wykluczony z wyścigu.
Dziewczyna pojechała w swoją stronę z myślami skupionymi na sobie i nie były to myśli zbyt ładne. Bała się, że zaczyna popadać w zgorzknienie, bo wiedziała, że jest samotna i naprawdę obawiała się o swoją przyszłość. Jej błąd w ocenie Amblera był dla niej ostrzeżeniem, że samotność może łatwo ją doprowadzić do zauroczenia niewłaściwym mężczyzną.
Polubiła Hugh Amblera, który pochodził z wielkiego świata, za którym ona, dziewczyna która prawie nic nie wiedziała o kraju znajdującym się za górami Ashfork, strasznie tęskniła. Opowiadał jej o tych wszystkich

zabawach, podnietach i ludziach, rozbudzając jej tęsknotę niemalże do granic możliwości.

To on otworzył przed nią miłość, a ona cieszyła się tym tak bardzo nowym dla siebie doświadczeniem i przekonała się, że prawie się w nim zakochała. Wiedziała, że w ciągu ostatnich paru lat wyrosła na piękną kobietę i nie była w stanie oprzeć się próbie rozwinięcia swych skrzydeł w obecności jedynego mężczyzny, który przemawiał do niej językiem miłości.

A jednak, mimo wszystko, nie do końca pokochała tego mężczyznę, który z pewnością był co najmniej dziesięć lat starszy od niej. Pomiędzy nią a tym ostatnim krokiem stał Jim Woodbine. Widziała w swoim życiu Woodbine'a wiele razy, ponieważ był ich sąsiadem, a ich dwa rancza dzielił tylko potok, i od dawna żywiła do niego dziecinną miłość. Kiedy miała sześć lat, postanowiła za niego wyjść, a on nigdy nawet tego nie podejrzewał. Teraz, gdy stała się już kobietą, była przekonana, że Jim Woodbine wciąż myśli o niej jako o dziecku. Starała się temu zaradzić i dopiero ostatniego wieczora poczuła, że przekonała go, że jest już dorosła i atrakcyjna. Jim Woodbine zobaczył ją w nowym świetle i prawie wziął ją w ramiona.

Jechała spacerowym krokiem wśród drzew, porządkowała myśli i doszła do wniosku, że wcale nie jest aż tak źle. Odkryła swój błąd w ocenie Amblera i pokazała Jimowi Woodbine'owi, że jest atrakcyjną kobietą. To nadało jej myślom nowy kierunek, ponieważ teraz mogła poświęcić całą swoją uwagę Woodbine'owi i zacząć realizować to, co postanowiła sobie kilkanaście lat temu.

Podjechała więc koło stodoły z sercem lżejszym, niż miała już od dłuższego czasu. Oddała lejce jednemu z ludzi wychodzących z korralu i poszła do domu razem z ojcem, który podszedł by się z nią spotkać.

— Amy — powiedział starszy człowiek z powagą — muszę cię o coś poprosić dla twojego własnego dobra i chciałbym, żebyś nie pytała mnie o powody tego, co mam teraz do powiedzenia.

— O co chodzi, tatku? — spytała, chwytając go za ramię. — Dla ciebie wszystko.

— Wolałbym, żebyś nie spotykała się z Hughem Amblerem. Mam co do tego swoje powody.

— W porządku, jeśli cię to zadowoli, obiecuję ci to — odparła. Potem jeszcze dodała: — To znaczy, zawrę z tobą umowę. Jeśli kupisz mi nową sukienkę i kompletny nowy zestaw ubrań na Wielkanoc...

Starzec uśmiechnął się smutno.

— Powinienem był wiedzieć, że będziesz chciała dostać coś w zamian. Jesteś sprytną dziewczyną, Amy, a sprytne kobiety czasami muszą poparzyć sobie paluszki. Ale taki jest układ.

— No to, umowa stoi, tato — zapewniła go, gdy weszli do domu na kolację.

Rozdział 11

Ciężkie noce

Było około południa, kiedy Woodbine wrócił znad potoku i wjechał na podwórze swojego rancza. Koło korrali zobaczył Slima Longfellowa i Dutcha Karltona pracujących przy kosiarce, podczas gdy Boots Wilkerson i jego brat reperowali na jednym z wozów sieczkarnię do siana. Jess Hardracker, z wyjątkowo żałobnie opadającymi wąsami, naprawiał zestaw uprzęży zaprzęgu.

Dwa wozy z pojemnikami pełnymi spinaczy do mocowania drutu, szpadlami do kopania dołów, nosidłami i innym sprzętem, stały bez koni pod szopą. O stodołę, w której pracował Jess, oparta była strzelba i dwa karabiny.

Woodbine zsiadł z konia, podszedł i przykucnął koło Jessa.

— Nie zacząłeś jeszcze grodzenia?

— Nie chciałem ryzykować — powiedział Jess. — Twoi rewolwerowcy uciekli. Zapłaciłem im z własnej kieszeni.

— Co im nie pasowało? Nie podobała im się kuchnia?

— Nie o to chodziło. Jeden z nich nie pojawił się zeszłej nocy, kiedy reszta wróciła z miasta, ale ściągnął tutaj dopiero odrobinę po świcie. Wygląda na to, że wpadł na swojego przyjaciela z bandy Frya i pojechał z nim do domu. Fry wysłał go, aby zaoferował im większe płacę, jeśli przyjadą i będą pracować dla niego. Przyszli więc, zażądali pieniędzy i wszyscy wynieśli się do Frya. Nie chciałem wysyłać Slima i jego ludzi na otwartą przestrzeń, aby budowali ogrodzenie bez żadnej ochrony. To byłoby zbyt jawne zaproszenie dla Frya, żeby zaczął strzelać.

Woodbine przez chwilę słuchał tych informacji bez komentarza, po czym powiedział:

— Oczywiście miałeś rację. Nigdy nie podobał mi się ten pomysł z rewolwerowcami. Będziemy musieli rozstrzygnąć to sami.

— Na czym stoimy? — spytał Jess

Woodbine przedstawił mu wydarzenia z ostatniej nocy i poranka, i dyskutowali o nich przez chwilę.

— Wygląda na to, że Fry i Ambler zostali zepchnięci do narożnika — zauważył Jess. — Nie mogą pozwolić, by sprawy ucichły, zanim nie pojawi się rozstrzygnięcie. Nie widzę sensu w budowaniu ogrodzenia pod gradem kul, tylko po to, by zobaczyć, jak przewracają każdy słupek w chwilę potem, jak my go postawimy - o ile będziemy mieli na tyle dużo szczęścia, by się z tym zadaniem uporać.

Woodbine zgodził się z tą decyzją.

— Wy, chłopcy, zostańcie na miejscu i pilnujcie, żeby nie spalili domu i stodoły — polecił. — Będę dalej tak mocno ich naciskał, dopóki nie doprowadzę sprawy do końca. Podburzyłem ich już wystarczająco, więc nie powinno to długo potrwać. Pojawił się doktor Ellis?

— To może być właśnie on — odparł Jess, wskazując na powoli przesuwający się obłoczek kurzu na drodze. — Bob i tamci, przywieźli ciało Moody'ego i powiedzieli mi o walce przy przesmyku na drugą stronę gór. Kazałem im rzucić je na ganku. Cielęta zostały zapędzone na łąkę w dolinie. Merle i tamci odjechali do miasta, a Bob wrócił do domu.

Do czasu zanim Woodbine zdążył się umyć, przybył doktor Ellis. Lekarz był dużym mężczyzną o ciężkiej twarzy, na której wyryte były ślady po kłopotach sąsiadów. Był spokojny i skuteczny, nie miał wiele do powiedzenia, ponieważ jego obowiązkiem było leczenie chorych i rannych bez względu na ich moralność oraz nie osądzając ich w żaden sposób. Woodbine nie rozmawiał z nim o samej sprawie jako takiej, za co lekarz był mu wdzięczny.

— A teraz, co chcesz, żebym zrobił? — spytał doktor. — Merle mówił coś o sekcji zwłok.

— Moody został postrzelony dwukrotnie — wyjaśnił Woodbine. — Jeśli obie kule wciąż w nim są, chciałbym je dostać. Z tego co wiem, Moody nie ma rodziny, która sprzeciwiałaby się autopsji.

Doc odłożył torbę i zdjął swój czarny płaszcz z alpaki.

— Będziemy musieli położyć go na jakimś stole. Najlepiej w cieniu tego platanu.

Zbudowali pod drzewem sosnowy stół, kładąc trzy deski w poprzek drewnianych koni do piłowania, i lekarz zajął się sekcją zwłok, podczas gdy pozostali ludzie poszli i wykopali grób po drugiej stronie drogi na ziemi Frya. Właśnie w chwili gdy skończyli, doktor Ellis umył ręce, rozprostował do dołu rękawy i wrócił na ganek.

— Oto twoje kule — oznajmił. — Pocisk w stalowej osłonie przeszedł mu przez brzuch i utkwił w kręgosłupie. Ołowiany pocisk wszedł w kość pod okiem i utkwił w czaszce. Jest oczywiście zdeformowany, ale jestem pewien, że to .45.

Woodbine wziął obie kule do ręki, po czym włożył je do kieszeni.

— Najpierw co do tej kuli karabinowej. Jak wyglądała rana, czy mogła ona zabić Moody'ego od razu?

— Nie ma szans. Kula przeszła przez jelita i wątrobę, ale nie trafiła go w serce. Zmarłby albo na skutek krwotoku wewnętrznego po kilku godzinach, albo z powodu zapalenia otrzewnej po kilku dniach. Ale to kula w głowę go zabiła.

Woodbine zapamiętał te informacje i powiedział:

— Dzięki, Doc. Pochowamy go po kolacji. Chodź i zjedz z nami, zanim wyruszysz w drogę powrotną.

* * * *

Około południa Noble Fry przyjechał do swojego domu w czarnym humorze. Trzydziestu rewolwerowców siedziało w cieniu baraku

noclegowni, grając w karty, rozmawiając i próżnując, co nie poprawiło mu humoru. Podszedł do nich i przyjrzał się im.

— Wydawało mi się, że mówiłem wam wczoraj wieczorem, że chcę, abyście zaczęli się dzisiaj robotą i pozbierali wszystkie zwierzęta Woodbine'a, które zjadają moją trawę. Mam zamiar zamknąć je i zatrzymać na wypadek, zniszczeń moich pastwisk, gdyby rozpoczął budowę tego swojego ogrodzenia. Po co tu siedzicie?

Wysoki, szpakowaty mężczyzna o imieniu Red Dog był zwykle rzecznikiem grupy, a teraz uśmiechnął się bezczelnie do Frya.

— No cóż, chyba zapomniał pan o naszej umowie. Nasze wynagrodzenie miało być płatne co tydzień z góry, a dziś jest dzień wypłaty. Poza tym, ci nowi chłopcy, których pan zatrudnił, chcieli dostać swoje pieniądze, zanim zaczną pracować. Więc jeśli zechce pan zapłacić, weźmiemy pieniądze i zabierzemy się do pracy.

Red Dog obserwował, jak jego ultimatum wpłynęło na Frya i zobaczył, że jego twarz na chwilę straciła kolor.

— Nie martwcie się o swoje wynagrodzenie — zapewnił go Fry. — Tak się składa, że nie mam obecnie pieniędzy w domu, ale zdobędę je przy pierwszej wizycie w mieście. W międzyczasie bierzcie się do pracy.

— Chłopcom nie podoba się pomysł pracy, bez wynagrodzenia w kieszeni. Wie pan, jak to jest; człowiek może nabrać ochoty na nagłą podróż, a wtedy będzie potrzebował pieniędzy. Albo coś panu się stanie i skąd wtedy weźmie wypłatę? A może zabraknie panu pieniędzy i nie będzie pan mógł nam zapłacić, i co wtedy będzie?

— Co masz na myśli mówiąc o tym wszystkim? — zaczął się dopytywać Fry. — Czy moje słowo nie jest dobre?

— Pieniądze są lepsze.

— Dostaniecie je.

— Kiedy?

— Przy pierwszej okazji kiedy pojadę do miasta, mówiłem ci. O co chodzi, boisz się, że ich nie dostaniecie?

Red Dog popatrzył na Frya badawczym wzrokiem.

— Niektórzy z chłopców myśleli, że może dostał już pan pieniądze i może je pan stracił. Może ktoś wszedł do pańskiego domu i je ukradł. W takim przypadku pojawiłyby się wątpliwości, czy będzie pan w stanie zdobyć kolejną sumę, aby nam zapłacić. Takie małe rzeczy martwią małych ludzi, takich jak my.

Fry przyjrzał się twarzy Red Doga i zobaczył tylko cyniczny uśmiech.

— A skąd ty, do cholery, wiesz o tym, że mogłem stracić pieniądze? — dopytywał się.

— Och, nie — Red Dog wzruszył ramionami. — Tak się tylko złożyło, że byłem w domu i szukałem pana wczesnym rankiem. Widziałem wtedy otwarty sejf i trochę krwi na podłodze. Tego rodzaju niewielkie drobiazgi czasami składają się na coś znacznie większego, wie pan przecież.

Fry starał się nie wyjawić Red Dogowi swoich problemów, ale oczy rewolwerowca były skierowane na niego i Fry widział, że ten człowiek jest pewien tego, że odkrył prawdę.

— No cóż — stwierdził Fry, zmuszając się do uśmiechu — wczoraj w nocy rzeczywiście oberwałem trochę po głowie i zostałem okradziony, ale wiem, kto to zrobił i za kilka dni odzyskam pieniądze. Zostańcie tu chłopcy.

Red Dog pokręcił przecząco głową, wciąż utrzymując swój nieustanny uśmiech.

— Nie ma mowy! Chłopcy są wrażliwi na takie drobiazgi. Poczuliby się źle, gdyby pan ich o to poprosił.

Noble Fry rozważył całą sytuację, a wynik tych rozważań był dla niego poważnym problemem. W ciągu kilku ostatnich godzin sytuacja szybko się skomplikowała i w każdej chwili mogło dojść do jakiejś eksplozji. Nie żeby Woodbine miał coś konkretnego na niego, ale on, Fry, miał silne przeczucie, że Woodbine podłożył pod niego ogień, który w każdej chwili może wybuchnąć potężnym płomieniem. Było tu zbyt wiele niewiadomych i działo się zbyt wiele rzeczy, o których nic nie wiedział. Potrzebował tych ludzi.

— Jest tylko jedna rzecz, którą mogę zrobić — obiecał. — Mogę pojechać do miasta, spieniężyć kolejny czek i zapłacić wam. Będziecie pracować, dopóki nie wrócę?

— Powiem panu tak — odpowiedział Red Dog. — Wszyscy pojedziemy z panem, a kiedy pan nam zapłaci, możemy wziąć sobie przez resztę dnia wolne i wypić parę drinków, aby uczcić dołączenie do nas naszych nowych przyjaciół.

Odwrócił się do zebranych ludzi.

— Co wy na to, chłopcy? Weźcie swoje śpiwory, a jeśli nam nie zapłaci, zawsze możemy pojechać sobie dalej. Dziś wieczorem w Kiowa odbędzie się potańcówka, jak słyszałem.

To przerwało grę w pokera, a chłopcy podnieśli się na nogi i poszli do prycz, by zabrać swoje spanie. Fry mocno zacisnął się usta, bo wiedział, że w banku w Kiowa nie ma wystarczająco dużo pieniędzy, by pokryć czek, o którego spieniężenie będzie musiał poprosić Merle'a Robersona. Ale ten problem będzie musiał poczekać.

Jego ludzie zapędzili go w kozi róg i miał wrażenie, że będzie ich potrzebował.

Wszyscy pojechali więc do miasta i dotarli tam mniej więcej w okolicach środka popołudnia. Fry pojechał do Robersona, podczas gdy jego ludzie zatrzymali się w Parisian, by na niego zaczekać.

Roberson, siedzący w swoim biurze na tyłach sklepu, wysłuchał historii Frya bez komentarza.

— Te dwa tysiące, które ostatnio dla mnie wypłaciłeś, musiałem odesłać, aby pokryć inne długi. Potrzebuję teraz kolejnego tysiąca, jeśli spieniężysz dla mnie czek. Wiesz, jak rosną płace.

Roberson pokręcił ołówkiem.

— Po prostu nie dam rady tego zrobić, Fry. Nie mam wolnej gotówki, a do banku w Kiowa nie wybiorę się jeszcze przez kilka dni. Lepiej poproś swoich chłopców, żeby poczekali.

— Oni chcą swoich pieniędzy.

— Rozumiem. Ale tym razem nie mogę zrealizować twojego czeku — odpowiedział Roberson z tonem ostateczności, której Fry nie mógł nie dostrzec.

Fry wstał i wyszedł ze sklepu, próbując poskładać w całość wszystkie rzeczy, nad którymi ten nagły zwrot wydarzeń pozbawił go zupełnie kontroli. Czuł, że sprawy nie idą w dobrym kierunku i przeczuwał, że zbliża się jakaś ostateczna rozgrywka. Szedł ulicą, wpadł do małego saloonu i wypił kilka drinków, szukając w swoim płodnym umyśle sposobu na zniwelowanie działania tej złej passy.

Gdy zastanawiał się nad rozwiązaniem sprawy, nagle przyszedł mu do głowy pewien sposób. Rzucił srebrnego dolara na bar i podszedł do stajni Race'a Greera.

— Race — powiedział - nie potrzebuję już tych rewolwerowców. Czekają w Parisian, aż zapłacę im za pracę na przyszły tydzień. Wyświadcz mi przysługę, idź tam i powiedz im, że cała umowa zostaje rozwiązana i równie dobrze mogą się stąd wynieść.

— Rozwiązana? — powtórzył stary Race, spoglądając na niego ostro. — Ty i Woodbine pogodziliście się?

— Ani trochę. Ale poradzę sobie z nim bez pakowania pieniędzy w tę bandę cwaniaczków. Idź i powiedz im.

— Na pewno nie będziesz ich potrzebował? — spytał Race. — Zamierzałem wybrać się kiedyś do ciebie i porozmawiać z tobą. Masz pojęcie, co się tu dzieje?

— Co masz na myśli?

Race skinął na niego:

— Chodź tu na tył — i zaprowadził ich do pomieszczenia z paszą na tyłach stajni. Weszli do środka i Race zamknął za nimi drzwi. Usiedli na dwóch pełnych workach z ziarnem i popatrzyli na siebie.

— Zawsze byłeś moim przyjacielem i wolnym człowiekiem z dolarem w kieszeni — zaczął Race. — Ta informacja może być dla ciebie coś warta. Widziałeś mnie dziś rano z Merlem, Woodbinem i innymi. Wiesz, co oni kombinują?

— Szukają Moody'ego. Ja też, znalazłem go pierwszy i zabiłem. Dorwałem go, gdy prowadził przez góry skradzione bydło.

Race pokręcił głową z mądrą miną.

— To tylko część sprawy. Ty i Woodbine skoczyliście sobie do gardeł, a Bob Burnham jest oczywiście z Woodbinem. Wiesz, że mają przeciwko tobie gotowe oskarżenie?

— Jakie oskarżenie? — Fry spytał ostro.

— O morderstwo! Nie słyszałem wszystkiego, co mówili. W kieszeniach Moody'ego znaleźli pieniądze, które Merle pamiętał, że ci wcześniej wypłacił. Wiedzą, że coś ukrywałeś, nie wspominając o tych pieniądzach, i doszli do wniosku, że były to pieniądze, które zapłaciłeś Moody'emu za zabicie Aba Sterlinga. Ponadto dowiedzieli się, że tam na górze nie stoczyłeś z Moodym walki, ale że go zamordowałeś. Dwie kule, różnego kalibru, a strzały padły w długim odstępie czasu. Pierwsza kula nie mogła zabić Moody'ego, ale musiała go zranić i obezwładnić. Musiałeś więc wystrzelić drugą kulę, żeby zamknąć mu usta, kiedy usłyszałeś

nadjeżdżający oddział pościgowy. Miałeś dwie sztuki broni, Fry. Moody nie miał żadnej, kiedy tam dotarliśmy. Nazywają to morderstwem i zamierzają na tej podstawie wytoczyć ci sprawę. Morderstwo, Fry! Woodbine planuje zawiązać ci pętlę na szyi.

— A czego chcą użyć jako dowodu? Odgłosu strzałów?

— Tych dwu kul z ciała Shaya. Merle wysłał do Woodbine'a doktora Ellisa, żeby wyciągnął je z Moody'ego.

— A Woodbine zamierza zatrzymać te kule i powiesić mnie na nich, tak?

— Tak.

Fry podniósł się na nogi.

— Nie zapomnę ci tego, Race. Jak tylko wszystko tu uporządkuję, pokażę ci, jak bardzo to doceniam. Zamierza mnie powiesić za pomocą tych kul, prawda?

— Prawie mu się to udało — powiedział Race. — Te dwie kule i do tego cała grupa pościgowa, która słyszała, jak odległe od siebie były te dwa wystrzały, no i pieniądze oraz wszystko inne. Nie sądzą, że mówiłeś prawdę.

Fry odwrócił się i podszedł do drzwi.

— Dzięki, Race. Na pewno ci to wynagrodzę. Jak tylko zajmę się kilkoma innymi sprawami. Idź teraz do Parisian i przekaż wieści tym rewolwerowcom, tak jak cię prosiłem, dobrze? Mam sprawę do załatwienia.

Wyszedł, zatrzymał się niepewnie, po czym zawrócił i zapytał:

— A tak przy okazji, czy nie natknęli się na nic związanego z Hugh Amblerem, co?

— Koń, na którym jechał Moody, należał do Amblera.

— Ambler mógłby pewnie coś im na to odpowiedzieć.

— No i Woodbine ruszył wstecz śladem bydła Moodego i stwierdził, że prowadziły one w kierunku przeprawy przez potok u Amblera.

— Więc to bydło było ukryte gdzieś na terenie Amblera?

— Jasne — uśmiechnął się Race. — Rano byłeś trochę jakby zdenerwowany. Twoja historia o znalezieniu zwierząt u Moody'ego nie zgadzała się Woodbine’owi. Przewąchał ją od deski do deski i zaczął szukać rzeczy, które nie pasowały do siebie. Lepiej wymyśl jakiś sposób, żeby się ukryć.

— Taa — stwierdził z roztargnieniem Fry. — Myślę, że już mam ten sposób. Do zobaczenia.

Fry ruszył pośpiesznym krokiem do swojego konia, wsiadł na niego i szybko wyjechał z miasta.

Rozdział 12

Dwóch ludzi wartych siebie

Popołudnie zaczęło robić się już chłodne, gdy Noble Fry wjechał na polanę Hugha Amblera. Ambler dostrzegł go z miejsca, w którym rąbał drewno na opał, zapiął rewolwer, który odłożył na pniak, i wyszedł mu naprzeciw, a jego twarz celowo przybrała nieprzenikniony wyraz.

Fry rozpoczął:

— Chciałem jeszcze przez chwilę z tobą porozmawiać, Ambler. Pomyślałem, że dobrze może byłoby jeszcze się spotkać.

Starał się mówić uprzejmie, lecz w jego głosie pobrzmiewała fałszywa nuta, ponieważ nie lubił Amblera, ani nie ufał mu. W Amblerze dostrzegał zbyt wiele swoich cech, by pozwolić sobie wobec niego na jakiekolwiek inne uczucie, poza podejrzliwością, i tylko presja rosnącego niebezpieczeństwa, które mu zagrażało, przywiodła go w to miejsce.

Ambler bez słowa wskazał na pień, po czym sam również usiadł na pniu naprzeciwko swojego rozmówcy i zaczął skręcać papierosa i zapalać go, dając do zrozumienia swoim milczeniem, że to Fry powinien odezwać się jako pierwszy. Fry zauważył ten manewr i rozzłościł go on, ale trzymał swój gniew pod ścisłą kontrolą.

— Powinniśmy byli spotkać się już wcześniej — powiedział Fry, starając się by brzmiało to przekonująco. — Teraz niemalże musimy to zrobić. Dla naszego własnego zysku… i naszej wspólnej ochrony.

— Ochrony? — Ambler uniósł brwi.

— Tak. Potrzebujesz jej, tak samo jak ja. Mówiąc o tym, wyświadczam ci w zasadzie przysługę, ale tak po prostu jest. Woodbine ma na ciebie haka. Odkąd tu przybyłeś, kradłeś cielaki po całej okolicy, a teraz Woodbine ma cię na celowniku. Prześledził ślady bydła, aż do tego miejsca, ma u siebie twojego konia oraz skradzione bydło, a wszystkie znaki na tych cielakach to D-w-C, oznakowanie którego używasz w Deerlick.

— On wie o tobie wszystko, Ambler, tak samo jak i ja — skłamał Fry. — O tym, że pięć lat temu zbyt dobrze posługiwałeś się bronią nad rzeką Brazos i o całym stadzie, które zniknęło rok wcześniej na szlaku St. Joe.

— Posłuchaj — warknął Ambler. — Moody Shay nie mógł mu powiedzieć o tych sprawach, bo o nich nie wiedział.

— A kto mówi, że to Moody Shay mu powiedział? Martwy człowiek nie może mówić, a ty jesteś mi coś winien za dopilnowanie tej sprawy.

— Och, Moody nie żyje, prawda? Woodbine nic o tym nie wspomniał.

— Nie wspomniał? Ambler, Woodbine nie powiedział ci nawet połowy tego, co o tobie wie. Założył ci sznur na szyję, chyba że się pośpieszysz.

— O tej sprawie z Teksasem — spytał Ambler. — Jak ty i on się o tym dowiedzieliście?

— Przypuszczam, że dowiedział się tego tak samo jak ja. Postanowiłem prześledzić twoje życie.

— Bardzo interesujesz się moimi sprawami. Dlaczego?

— Dostrzegłem cię już dawno temu i lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia. Może Woodbine myśli tak samo, ale jego cele są inne. Ambler, możesz ocalić własny kark, a ja jestem gotów ci w tym pomóc w zamian za twoją pomoc dla mnie. Wiesz, że to stawianie płotów generalnie oznacza kłopoty. No cóż, gdybyś się bronił się przed Woodbinem, dopilnowując, żeby nie było go w pobliżu, aby cię powiesić, oczywiście rozwiązałoby to również i mój problem. Krótko mówiąc, gdyby Woodbine'a nie było w okolicy, obaj mielibyśmy rozwiązane problemy. Oferuję ci więc pomoc.

Ambler siedział i analizował propozycję Noble'a Frya, widząc wyraźnie pewne kwestie, które się za nią kryły, i podejrzewając istnienie jeszcze wielu innych. Uznał, że Fry trzymał tę kartę atutową na chwilę, kiedy będzie desperacko jej potrzebował, a zatem musiał być w dość ciasnym narożniku. Tym samym Fry wpadł w sieć Amblera, i Ambler miał go w miejscu, w którym chciał.

— Chcesz mieć całą ziemię po drugiej stronie potoku — stwierdził Ambler. — Planowałeś poślubić dziewczynę Sterlinga i zabić Woodbine'a. Chciałeś poślubić dziewczynę, zanim zabijesz Woodbine'a, ponieważ dziewczyna mogłaby za ciebie nie wyjść, gdybyś miał jego krew na rękach. Ale Woodbine dowiedział się, że wynająłeś Shaya, by zabił ojca dziewczyny, i ona też może już o tym wiedzieć. Musisz więc usunąć Woodbine'a z drogi, zanim on cię powiesi i chcesz, żebym zabił go za ciebie, żebyś miał czyste ręce przed dziewczyną. To właśnie próbujesz powiedzieć, Fry. Prawda?

— Co to ma znaczyć, że niby to ja kazałem zabić Sterlinga?

— Przestań — warknął Ambler. — Wiem co się tutaj dzieje. Boisz się stanąć twarzą w twarz z Woodbine'em i chcesz, żebym to ja go dla ciebie zabił. Jaka jest twoja oferta?

Noble Fry widział, że umysł tego człowieka niemal dorównuje jego własnemu, nienawidził więc go i trochę się go bał. Ale myślał, że po tym, jak nakłoni Amblera do pociągnięcia za spust i zlikwidowania Woodbine'a, on, Fry, będzie mógł zabić Amblera jako złodzieja bydła i cały problem sam się rozwiąże. Nie miałby na swoich rękach krwi Woodbine'a, a Virginię Sterling nadal można by jakoś przekonać do poślubienia go. Otwierało to możliwość wzięcia w posiadanie mnóstwa dodatkowej ziemi, licząc w to rancza jej, Woodbine'a i Amblera.

— Teraz mówisz z sensem — powiedział do Amblera. — A ty czego chcesz od tej transakcji?

— Byłoby bardzo miło, gdybyśmy byli sąsiadami, co? Ty miałbyś całą jedną stronę potoku, a ja drugą.

Noble Fry popatrzył na niego z chytrym uśmiechem na ustach.

— Amy Churchill, co?

— Ona jest głupia. Nie chciałbym mieć z nią do czynienia.

— Rozumiem — odparł Fry. — No cóż, staruszek jest już stary i nie zostało mu wiele czasu. Przypuszczam, że Churchill nie lubi cię bardziej niż Sterling lubił mnie. To niezdrowe podejście, jak się o tym przekonał Ab. W porządku, Ambler. Pomogę ci. Jak tylko będziesz gotowy po tym, gdy pozbędziemy się Woodbine'a.

Ambler stwierdził:

— Wiedziałem, że możemy znaleźć wspólny grunt do porozumienia.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Fry nie ma zamiaru później pomagać mu w zabiciu Churchilla, ponieważ Fry musiał dopilnować zamknięcia ust zarówno Amblerowi jak i Woodbine'owi. Woodbine musiał jednak zginąć, jak wiedział Ambler, nie ze względu na problemy Frya, ale dla jego własnego bezpieczeństwa. I wtedy Ambler będzie mógł zagrać w tę samą grę, w którą zamierzał zagrać Fry. A niewykluczone, że będzie potrafił zagrać w nią znacznie lepiej niż jego tymczasowy partner. Ale przede wszystkim, poparcie Frya w starciu z Woodbine byłaby pewną pomocą.

Ambler podniósł się na nogi.

— Kiedy ruszamy, partnerze?

— Zaraz — warknął Fry. — Im prędzej, tym lepiej.

Minęło już kilka lat, od czasów gdy Hugh Ambler żył ze swojej szybkiej broni i miał wcześniej nadzieję, że te czasy go już nigdy nie dogonią. Przeanalizował jednak swoje uczucia i stwierdził, że podchodzi do tej sprawy z całym chłodnym, beztroskim spokojem, jaki pomagał mu wcześniej. Nic się pod tym względem nie zmieniło. Jego plany były zagrożone i musiał wyeliminować paru ludzi, którzy stanęli mu na drodze. To było dokładnie takie proste.

— Pomyślałeś o czymś, co mogłoby dać nam jakąś osłonę? — zapytał Ambler.

Myślał, że Fry opracował jakiś plan, który zrzucałby ciężar winy na Amblera i nie był zaskoczony odpowiedzią Frya.

— Myślałem nad tym, a odpowiedź jest tak prosta, że musi być niezawodna. Woodbine był dzisiaj u ciebie sam. Po tym, jak się nim zajmiesz, możesz po prostu powiedzieć, że Woodbine złapał cię nieuzbrojonego, oskarżył cię o kradzież swojego bydła i zagroził, że zastrzeli cię na miejscu, kiedy tylko następnym razem spotka cię z bronią. Byłbyś wtedy usprawiedliwiony, że działałeś w obronie własnej. Proste i kto może zaprzeczyć tym stwierdzeniom?

— Z tego co pamiętam — zauważył chytrze Ambler — ty też masz w tym uczestniczyć. Jakie będzie twoje alibi?

— Takie samo. Woodbine najwyraźniej stracił głowę i groził nam obu. Wpadłem na niego niedaleko twojego domu i powiedział mi dokładnie to samo.

— Proste, w porządku. Tylko kto w to uwierzy?

— Skoro on nie będzie żył, to kto temu zaprzeczy? W tym przypadku nie sądzę, byśmy musieli wspierać się jakimiś bardzo wyszukanymi głupotami, prawda?

— Mnie pasuje — zgodził się Ambler, przekonany, że Fry ma zamiar skierować swoją broń na Amblera w chwilę po tym, jak ten ostatni zabije Woodbine'a, a potem będzie miał do opowiedzenia zupełnie inną historię. Nie martwiło to jednak Amblera, ponieważ zamierzał pokonać Frya w tej sztuce. Tylko jeden z trzech ludzie będzie mógł przeżyć, a Ambler spodziewał się być właśnie tym człowiekiem. Dla niego była to jedyna możliwość zapewnienia sobie bezpieczeństwa

— Jeszcze jedno — zapytał Ambler. — Gdzie i kiedy zamierzamy dopaść tego pana?

— Jeden z moich chłopców widział go, jak jechał do miasta z doktorem Ellisem. Wyobrażam sobie, że spróbuje zorganizować komitet, który by złapał ciebie i mnie, zawiązał nas jak baleron, a potem poddał uczciwemu procesowi. Mam trzech stale u mnie pracujących jeźdźców, którzy nie będą się bali strzelać do Woodbine’a, jeśli za tę robotę dostaną jakąś niewielką premię. Pojedziemy pod mój dom i zabierzemy ich, a potem pojedziemy do miasta, rozproszymy się, znajdziemy Woodbine’a i załatwimy tę sprawę raz na zawsze.

— Już wsiadam na konia — powiedział Ambler — i zaraz do ciebie dołączę. W obecnym stanie rzeczy, co mamy do stracenia?

* * * *

W miejscach, w których panowało sformalizowane prawo, taka grupa ludzi zostałaby nazwana zgromadzeniem sądowym, lecz w Ashfork, gdzie nie istniała żadna struktura prawna i nie było urzędników reprezentujących jakąkolwiek formę rządu, był to jedynie komitet odpowiedzialnych biznesmenów i ranczerów, którzy zostali zaproszeni przez Merle Robersona do dającego odrobinę prywatności pokoju na tyłach jego sklepu, w celu wysłuchania szczegółów sytuacji, dotyczącej przecież ich wszystkich. Mogli tam wysłuchać faktów, które zostaną im przedstawione, a jeśli fakty te wydałyby się im uzasadniać podjęcie określonych działań, mogli wziąć na siebie wyznaczenie innych przyzwoitych osób do działania jako sąd i wykonania wszelkich wyroków przez ten sąd wydanych. W innych okolicznościach taki sąd można by nazwać bezprawnym sądem kapturowym i poddać jego funkcjonowanie surowej krytyce, lecz w warunkach, w jakich żyli ci ludzie, był to jedyny sposób, w jaki mogli sobą rządzić.

W obecnej chwili, w pokoju Robersona siedziało więc kilkunastu ludzi, których uczciwości i sprawiedliwości nie można było kwestionować, zaś u szczytu sosnowego stołu, wokół którego się zebrali, zasiadał stary Enos Churchill, z ramionami przygarbionymi pod ciężarem ciężkich lat i twarzą naznaczoną doświadczeniami ludzkiego dobra i zła. Jednak pomimo całego morza bezprawia, którego był świadkiem i którego był niejednokrotnie częścią, na jego twarzy malowała się spokojna patyna życia dobrze i sprawiedliwie przeżytego.

Merle Roberson podjął się wyjaśnienia całej sprawy zgromadzeniu tych zebranych w sekrecie ludzi, podczas gdy Woodbine, który siedział obok niego, słuchał.

— Wiecie oczywiście, że między Jimem Woodbinem a Noblem Fryem doszło do pewnej różnicy zdań odnośnie do zamiarów Jima, aby ogrodzić swoje ranczo. Rzeczy, które ma wam do powiedzenia, nie mają żadnego związku z tym zagadnieniem, chociaż to właśnie ono spowodowało, że sprawy te osiągnęły swój punkt kulminacyjny.

— Pamiętacie, że mój szwagier, Ab Sterling, został zastrzelony jakiś rok temu lub nieco mniej, na skutek wydarzenia, które podobno miało być wypadkiem na polowaniu. Woodbine przypadkiem zobaczył kulę wyjętą z ciała Aba i nie była to kula, która mogłaby zostać wystrzelona z Winchestera Aba, lecz ołowiana, taka, jakiej używa się w starej amunicji do Kragów. Nie mając nic prócz podejrzeń, Jim zatrzymał tę kulę i o niczym nie mówił, ale ostatnio dowiedział się, że Moody Shay posiada Kraga. Miał nadzieję udowodnić, że Moody Shay zabił Aba, prawdopodobnie na czyjeś polecenie.

— Ale Moody został postrzelony i zabity dziś rano w okolicznościach, które my, którzy tam byliśmy, uważamy za jawne morderstwo. Nikt tak naprawdę nie widział strzału lub strzałów, które zabiły Moody'ego, ale cała ta sprawa prowadzi do jednego wniosku: jeśli było to morderstwo, to mogło ono mieć na celu uciszenie Moody'ego Shaya, aby nie mógł zeznawać przeciwko nikomu innemu w sprawie zabójstwa Aba.

— Opieramy to przekonanie na fakcie, że Moody Shay, po pierwszym strzale, który go trafił, został śmiertelnie ranny, lecz nie zabity na miejscu, nie mógł jednak już dalej stawiać oporu. Ale później został postrzelony po raz drugi w głowę, z bliskiej odległości, i zginął natychmiast. Kilkunastu z nas znajdowało się wystarczająco blisko miejsca tego zdarzenia, aby zabójca mógł usłyszeć tętent kopyt naszych koni. Jaki inny cel, mógłby mieć człowiek, który dobija śmiertelnie rannego człowieka, jak nie uciszenie go?

— Można by uznać, że Woodbine ma osobisty konflikt z Noblem Fryem, więc nie powinien wydawać osądu w tej sprawie. A ja, jako wujek Virginii Sterling, musiałbym również zostać zdyskwalifikowany z powodu osobistego interesu w tej sprawie.

Więc poprosiliśmy was, abyście przyszli tutaj, w celu wysłuchania sprawy Woodbine'a, wezwania świadków, którzy mogą potwierdzić to, co mówi, i zdecydowania, czy uważacie, że istnieją powody, do wyznaczenie sądu w celu ustalenia winy lub niewinności Noble’a Frya. Jim, jeśli są gotowi, opowiedz im swoją historię.

Jim Woodbine wstał i położył na stole starą kulę z Kraga, a obok niej położył dwie kule wyjęte z ciała Moody'ego Shaya. Następnie opowiedział im swoją historię od początku do końca, wskazując rzeczy, które były udowodnionymi faktami, i inne, które były jedynie jego domysłami. Zacytował opinię doktora Ellisa na temat śmierci Moody'ego Shaya. Opowiedział im o skradzionym bydle i o prześledzeniu jego śladów wstecz, aż do operacji w Deerlick Amblera, i wskazał im, że te kwestie mogą nie być w ogóle powiązane ze sprawą. Opowiedział im o pieniądzach znalezionych przy Shayu i o tym, że Fry nie wspomniał o ich własności ani ich utracie.

Kiedy Jim skończył mówić, Merle wyszedł i wrócił z Kragiem Moody'ego Shaya i paczką pieniędzy. Komitet dopasował ołów do tego w pozostałej amunicji w karabinie. Posłano po doktora Ellisa, Race'a Greera i innych członków grupy pościgowej za Moodym, przesłuchano ich pod obietnicą zachowania tajemnicy w sprawie postępowania i odprawiono ich.

Później poproszono Jima Woodbine'a i Merle'a Robersona o opuszczenie pokoju, podczas gdy komitet omawiał swoje ustalenia i podejmował decyzję. Członkowie komitetu siedzieli zamknięci w pokoju i dyskutowali między sobą sprawę przez godzinę, a następnie posłali po Merle'a Robersona i Jima Woodbine'a.

Stary Enos Churchill oznajmił:

— Jesteśmy przekonani, że Moody Shay zabił Aba Sterlinga, i mogło to być z inicjatywy Noble'a Frya, ale skoro Shay nie żyje, nie mamy nic poza spekulacjami, więc nie uważamy, by Noble Fry mógł zostać sądzony za śmierć Aba. Lecz chociaż dowody mają charakter poszlakowy, uważamy, że Noble Fry zamordował Shaya. To dość trudna kwestia, ponieważ gdyby Fry lub ktokolwiek z nas przyłapał Shaya na przepędzaniu naszego bydła i Shay by się bronił, zabilibyśmy Shaya i byłoby to jedyne słuszne posunięcie. Jednak jak mówią dowody i świadkowie, tak nie było. Nie ma dowodów na to, że Shay stawiał opór, a w rzeczywistości, gdy nadjechała grupa pościgowa, Fry trzymał rewolwer w ręku, a karabin oparty był o drzewo. Nie ma więc przesłanek do tego, że Shay próbował, albo że miał środki do tego, aby się bronić. Uważamy, że Noble Fry powinien zostać osądzony za morderstwo. I uważamy, że Hugh Ambler powinien zostać osądzony za kradzież bydła, skoro już przy tym jesteśmy.

— Wyznaczymy sędziego i ławę przysięgłych oraz człowieka, który będzie prowadził sprawę. Fry będzie miał też kogoś, który będzie go bronił. Fry będzie musiał zostać sprowadzony na rozprawę, a uznanie naszego prawa do osądzenia go może nie być dla niego korzystne. Woodbine, w świetle faktu, że to ty poruszyłeś tę sprawę i ponieważ próba złapania Frya i przekazania go komisji może wiązać się z pewnym ryzykiem dla niewinnych ludzi, sprawiedliwym wydaje się być, abyśmy to ciebie wyznaczyli do jego sprowadzenia.

— Jeśli taka jest wola komitetu, spróbuję go do was doprowadzić — odpowiedział Woodbine.

Rozdział 13

Sieć się zaciska coraz mocniej

Kiedy Woodbine zmierzał w stronę frontowego wyjścia ze sklepu Robersona, wciąż był zaskoczony decyzją komitetu, by to jemu polecić schwytanie Noble'a Frya. Roberson, który podszedł z nim do drzwi, powiedział:

— To może mieć więcej sensu, niż się wydaje na pierwszy rzut oka, i w pewien sposób to ja podsunąłem ten pomysł Enosowi. Nazwij to czymś w rodzaju testu. Jeśli Noble Fry jest na pewno niewinny, będzie zadowolony, z otrzymania szansy na oczyszczenie swojego nazwiska. Jeśli czuje się winny, może się sprzeciwiać, stawiać opór i w ten sposób pokazać swoje prawdziwe oblicze. A ponieważ to ty jesteś człowiekiem, który odkrył ten problem, nie byłoby w porządku, gdyby ktoś inny miał za ciebie walczyć i ryzykować, że zostanie zabity. Z drugiej strony, także, skoro komitet uważa, że on jest winny, to gdyby w tej sprawie doszło do walki między tobą i Noblem to, no cóż, to ty miałbyś coś w rodzaju oficjalnego poparcia. Wydaje mi się, że to nie jest zły pomysł.

Roberson odwrócił się, by obsłużyć klientkę, która go zawołała, a Woodbine skierował się do wyjścia. Gdy wyszedł na chodnik, spotkał Amy Churchill. Amy była wesoła, jak dziewczyna, która właśnie dostała nową zabawkę.

— Cześć, Jim — uśmiechnęła się. — Szukam mojego Taty. Widziałeś go może gdzieś?

— Tak, jest teraz zajęty z kilkoma ludźmi w pokoju na tyłach sklepu — odpowiedział Jim. — Wyglądasz na szczęśliwą.

— A kto by nie był, skoro za dwa tygodnie będzie już Wielkanoc. Kazałem Tacie zabrać mnie do pani Turner. Szyje dla mnie najpiękniejszą sukienkę, jaką kiedykolwiek widziałeś. Teraz, jeśli będę miała tyle szczęścia, że jakiś biedny samotny kowboj zaproponuje mi, że zabierze mnie na zabawę, będę gotowa.

Oczy Jima dostrzegły wyłaniającą się z mroku bryczkę, obserwował ją i nie zauważył nieśmiałego spojrzenia, jakie mu rzuciła.

— Nie martw się tym — powiedział roztargnionym głosem. — Jesteś dostatecznie ładna, żeby załatwić sobie wszystkie męskie eskorty, jakie będziesz w stanie obsłużyć.

— Tak myślisz? — spytała. — Idziesz dalej?

Bryczka zatrzymała się przy stajni, a Woodbine obserwował, jak wysiada z niej dwoje pasażerów. Nie miał gotowej odpowiedzi dla

dziewczyny, a ona dostrzegła, na czym skupia się jego uwaga. Stary Bob Burnham wysiadł z bryczki i pomagał wysiąść z niej Virginii Sterling.

— Dzisiaj w mieście jest mnóstwo ludzi — zauważyła dziewczyna z nutą złośliwości w głosie.

— Tak — odpowiedział Woodbine mgliście. — No cóż, miło było cię znowu zobaczyć. Będę musiał biec dalej.

Zaczął odchodzić, lecz dziewczyna wzięła go pod ramię.

— Jim — oznajmiła, a w jej głosie słychać było coś tak intensywnego, że Woodbine znów zwrócił na nią swoją uwagę. — Jim, muszę ci coś powiedzieć.

Popatrzył na nią, a ona nie puszczała jego ramienia, spoglądając wzdłuż ulicy i wypatrzyła Virginię Sterling, która ją obserwowała.

— Wiesz, Jim, że nasze rodziny zawsze były bardzo blisko ze sobą. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Byłeś też tak miły, że obiecałeś, że nie powiesz Tatkowi o tym, że spotykałam się z Hugh Amblerem. Cóż, mogę ci się odwdzięczyć, Jim. Nie opowiadałabym ci tak wiele o moich prywatnych sprawach, gdybym nie myślała, że jesteśmy sobie tacy bliscy.

— Nie powiesz mi chyba, że wyszłaś za niego?

— Nie, Jim, i nie zrobię tego. On jest złym człowiekiem. Właśnie się o tym dowiedziałam, i to z jego własnych ust. Zamierza pomóc cię zniszczyć, a przynajmniej stać z boku i patrzeć, jak jesteś niszczony, a potem wkroczyć i przejąć twoją ziemię. Mógłby cię nawet zabić, gdyby musiał. Nie mogłabym mu na to pozwolić.

— Dzięki, że mi o tym powiedziałeś. —zapewnił ją Woodbine. — Ale nie przejmuj się nim. Nie boję się o to, że mógłby mnie skrzywdzić.

Dłoń dziewczyny mocniej ścisnęła jego ramię, a jej spojrzenie ponownie powędrowało w stronę Virginii Sterling, która zbliżała się do Boba Burnhama.

— Ale ja się boję, Jim. Strasznie się boję.

— Zapomnij o tym, tak jak ja zamierzam to zrobić — odpowiedział Jim Woodbine. Uchylił kapelusza w jej stronę. — Zobaczymy się później. Teraz mam sprawę do załatwienia.

Ruszył dalej ulicą i spotkał się z Bobem Burnhamem oraz Virginią, myśląc o ich ostatnim spotkaniu, kiedy ją pocałował, a ona odwróciła się i uciekła. Nie miał zbyt wiele czasu na zastanowienie się nad tym co wtedy zrobił i nie wiedział, co ona do niego czuje.

Kiedy zatrzymał się przed nimi, przyjrzał się jej twarzy i wiedział, że targają nią ogromne emocje. Nie wiedział, o co chodzi, ale podejrzewał, że była na niego niesamowicie zła.

Nie czekając na powitanie, zapytała:

— Jim, dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

— O czym?

Nie lubił udawać, ale trudno było nadążyć za pracą jej czujnego umysłu, a on nie miał zamiaru wchodzić w krytykę Noble'a Frya i w ten sposób wzbudzać w niej chęć obrony tego człowieka. Chciał, by to inni zajęli się tą sprawą, gdy będzie ona już rozstrzygnięta.

Pod wpływem emocji była bardzo bezpośrednia.

— Bob mi o wszystkim powiedział. Wiedziałam, że coś musiało się dziać, kiedy nie było go przez całą noc i zmusiłam go do tego, żeby mi wszystko opowiedział. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

Bob szybko wtrącił kilka zdań na swoją obronę, lecz wyglądał na speszonego.

— Posłuchaj, Jim — powiedział. — Wyjaśniłem, że nie chcesz oskarżać Noble'a, dopóki nie będziesz pewien tego, co robisz, ale wiesz, jaka ona jest. Po prostu wyciągnęła to ze mnie.

— Daj spokój, Bob — odpowiedział Woodbine, po czym zwrócił się do Virginii. — Wiem, że Fry jest twoim przyjacielem. Nie próbuję go prześladować ani wypędzać go z tych stron. Jeśli on jest czysty, stawię czoła konsekwencjom. Nie powinnaś dziś przyjeżdżać do miasta.

Nadal nie potrafił powiedzieć, co dziewczyna myśli o tej sprawie, ale przynajmniej podała powód, dla którego tutaj była.

— Przyjechałam zobaczyć się z Merlem — wyjaśniła. — Muszę wiedzieć, jak to się skończy.

— To może i dobry pomysł, żebyś z nim porozmawiała — zgodził się Woodbine. Widział, że Bob nie przekonał jej całkowicie co do charakteru Frya, i jej wiara w tego człowieka nie umierała tak łatwo.

— To może i dobry pomysł, żebyś ty razem z nim spotkał się ze mną. Albo jeszcze lepszym pomysłem byłoby, gdybyśmy znaleźli Noble'a, i wszyscy razem usiedli i porozmawiali o tej sprawie — odparła.

To go zabolało. Po wczorajszym pocałunku patrzył na nią, jakby widział ją zupełnie na nowo, i dostrzegał w niej rzeczy, których wcześniej nie potrafił zobaczyć. Nie była już tą chłopczycą z sąsiedztwa o piegowatej twarzy i zdolności do zadręczania życia każdego młodego mężczyzny, ale była piękną kobietą, z całą tą nieprzeniknioną głębią kobiecej natury, duchem i ogniem oraz obietnicą wielkiej i niezawodnej miłości do mężczyzny, który ją zdobędzie.

Widział to wszystko i dotarło do niego, że dostrzegł to zbyt późno. Jego szansa nadeszła i minęła, a on nie był na tyle czujny, aby ją dostrzec. Instynkt podpowiadał mu, że atakując człowieka, którego ona tak podziwiała, niweczył wszelkie własne szanse na zdobycie jej lojalności, ponieważ nie była ona osobą, którą można było zdobyć takimi sztuczkami.

Woodbine zdawał sobie sprawę z tego, że w takich okolicznościach nie mógł do niej podejść, a jednak ten impas nie był umyślnym celem jego działań. Postanowił ogrodzić swoje ranczo z własnych rozsądnych powodów. Miał nadzieję, że przekona ją o słuszności zrobienia tego samego, a kiedy to się nie udało, był przekonany, że w czasie gdy będzie realizował prace nad ogrodzeniem, Noble Fry w jakiś sposób ujawni Virginii swoje prawdziwe oblicze. Pokaże że prawdziwe powody dla których nie chciał dopuścić do powstania ogrodzenia, były całkowicie oparte wyłącznie na chciwości, a to z kolei przekona ją, że jedynym słusznym rozwiązaniem, jest ogrodzenie także i własnej ziemi, zanim Fry zniszczy jej wartość. To był jego jedyny cel i było on daleki od walki z innym mężczyzną o uczucia tej dziewczyny.

Teraz, gdy patrzył na jej urodę, przyszła mu do głowy pełna goryczy myśl, że walcząc w obronie interesów jej, jako przyjaciółki, zniszczył swoje szanse na szczęście.

— Przepraszam — powiedział z nagłym znużeniem — ale nie mogę teraz z tobą pójść. Mam sprawę do załatwienia.

Virginia popatrzyła na niego dziwnie i powiedziała:

— Ładna jest, prawda? I tajemnicza.

— Kto? — Twarz Woodbine'a była kompletnie skonsternowana, z zaskoczenia.

— Amy. To urocza dziewczyna i należy pogratulować mężczyźnie, który ją zdobędzie.

Osoba Amy Churchill znajdowała się tak daleko od myśli Woodbine'a, że zajęło mu dłuższą chwilę zrozumienie, co Virginia chciała przez to powiedzieć.

— Nie mam teraz czasu na randki — stwierdził i patrzył, jak bierze Boba za rękę oraz idzie w stronę sklepu Robersona.

Następnie odwrócił się i poszedł do restauracji w bocznej uliczce, gdzie zamówił kolację. Było już ciemno, a on był zmęczony, głodny i nie w najlepszym nastroju. Jakoś to wszystko, przez co przeszedł w ciągu ostatnich dwóch dni, nie wydawało mu się teraz warte zachodu. Nie podobało mu się, że musi jechać do Frya i sprowadzić tego człowieka pod sąd.

* * * * *

Stary Race Greer siedział przed swoją stajnią Elite Livery Stable z krzesłem opartym o ścianę, pod umieszczoną nad drzwiami wejściowymi lampą, gdy z ciemności wyjechało pięciu jeźdźców i zsiadło z koni koło budynku. Race wstał i podszedł do zwierząt.

— Cześć, Noble. Witaj, Ambler. Miasto trochę się dzisiaj zapełnia. Można by pomyśleć, że mamy jakąś potańcówkę lub coś podobnego.

Fry nie był w nastroju do żartów i polecił tylko:

— Nie rozkulbaczaj ich. Wystarczy je napoić i nakarmić, a potem z powrotem założyć uzdy i zostawić w miejscu.

— Chyba nie zostaniecie długo — skomentował Greer.

— Nie, nie zostaniemy. Mówiłeś, że miasto się zapełnia. Kto jest tu dzisiaj?

— Enos Churchill i jego córka przyjechali na zakupy. Jest też Bob Burnham z Virginią, Jim Woodbine i wielu innych.

— Brzmi jakby było tu jakieś spotkanie — zauważył Fry. — Masz pomysł co specjalnego może się dziać?

— Tak, mam. Ale to tajemnica.

— Rozumiem — odpowiedział Fry. — W takim razie nie sądzę, by ktokolwiek, kto nie jest wtajemniczony, wiedział, o co chodzi.

— Tego bym nie powiedział — uśmiechnął się znajomo Race Greer.

Fry podrapał się po brodzie.

— Chciałem się z tobą spotkać. Masz jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać?

— W pomieszczeniu na pasze — odpowiedział Greer, wskazując drogę.

— Poczekajcie tutaj — powiedział Fry do pozostałych, po czym poszedł za Greerem do pomieszczenia na pasze i zamknął za nimi drzwi.

— O co chodzi, Greer?

— Nie powinienem o tym wspominać — zastrzegł się Greer. — Lubię ludzi, którzy dobrze płacą za to, co dostają, ale są też tacy, którzy biorą, a potem zapominają zapłacić.

Fry wyjął z kieszeni kilka sztuk złota, wybrał dwie z nich i wrzucił je do wyciągniętej ręki Greera.

Twarz Greera opadła.

— To ważna informacja. Sprawa życia i śmierci, a ja zostałem zaprzysiężony do zachowania tajemnicy.

Fry wziął kolejną parę złotych monet i dodał je do dwóch w dłoni Greera, a ten schował je do kieszeni.

Mają posiedzenie komitetu u Robersona i wezwali nas wszystkich do złożenia zeznań. Podjęli już decyzję — powiedział Greer.

— I co postanowili?

— Mają na ciebie haka, Fry. Zdecydowali już, że jesteś winny i zamierzają oskarżyć cię o morderstwo. Jesteś skazany jeszcze przed rozpoczęciem procesu.

— Jak cholera — zaklął Fry. — I przypuszczam, że Woodbine jest w samym środku tego wszystkiego?

— W samym środku? — powtórzył Greer. — To Woodbine spowodował to wszystko. To on zakłada ci pętlę na szyję. Pozostali są tylko przy okazji, wspierając go.

Noble Fry powiedział obojętnym tonem:

— Tak, tak właśnie myślałem. No cóż, dzięki, Race. Przygotuj nasze konie.

— Zamierzasz go odszukać? — spytał Race, wychodząc za Fryem przez drzwi paszarni.

— Dokładnie to zamierzam zrobić. Ten łajdak po raz ostatni wmieszał się w moje sprawy.

Przy drzwiach wejściowych, gdzie czekali pozostali, Fry powiedział:

— Wy trzej, chłopcy rozejdźcie się i zobaczcie, czy zauważycie gdzieś Woodbine’a. Jeśli tak, to wróćcie i dajcie mi znać, gdzie on jest. Jeśli go nie znajdziecie, po prostu rozejrzyjcie się i posłuchajcie tego, co mówią ludzie. Ale nie chodźcie dziś wieczorem do Parisian. To pierwsze miejsce, gdzie ktoś mógłby was szukać. Ambler i ja będziemy gdzieś w pobliżu.

Kiedy trzej pełni napięcia jeźdźcy Frya zniknęli w oświetlonej części miasta, Ambler zapytał:

— Jakie wieści? Greer wie coś?

— Mnóstwo! Komitet przesłuchał go dziś jako świadka. Woodbine wypaplał im wszystko do samego dna, a oni zdecydowali, że powieszą ciebie i mnie koło siebie, jak tylko uda im się położyć na nas ręce i urządzą nam przedtem coś w rodzaju udawanego procesu. Woodbine będzie świadkiem przeciwko nam.

— Jeśli będzie jeszcze żył — poprawił go Ambler.

— Jeśli będzie jeszcze żył — powtórzył Fry. — Ale jest w mieście i nie widzę powodu, dla którego miałby pożyć aż tak długo. Jeśli dożyje, by wystąpić przeciwko nam, ten człowiek całkowicie zniszczy naszą grę na tych terenach. Nie możemy czekać ani chwili dłużej. Musimy strzelać od razu kiedy go spotkamy, nawet jeśli miałoby to zobaczyć tysiąc osób.

Hugh Ambler poczuł na szyi piekącą pieszczotę pętli i znów obudził się w nim stary strach, który przekonał go o konieczności zabicia Woodbine'a na miejscu, nie patrząc na konsekwencje, a potem ucieczki, gdyby nie było sposobu na jakieś usprawiedliwienie zabójstwa.

— Masz rację — zgodził się. — I może mógłbym dać ci kilka wskazówek w tej sprawie. Wiem coś o tym. Ty weźmiesz jedną stronę ulicy, a ja drugą. Kiedy jeden z nas mija światło, drugi pozostaje w ciemności. Jeden z nas powinien przyciągnąć jego uwagę, podczas gdy ten czekający w ciemności może oddać strzał. To pewny sposób.

— W porządku — zgodził się Fry. — Ty przejdź na drugą stronę ulicy. Ja pójdę tą stroną.

Ambler powiódł wzrokiem i dostrzegł, że w budynkach po drugiej stronie ulicy było więcej oświetlonych okien niż po stronie, którą Fry wybrał dla siebie, a gdy się odwrócił, na jego twarzy pojawił się zimny uśmiech. Ambler wiedział, jak wykorzystać ciemność, w której Fry wolał się ukrywać.

Rozdział 14

Decydujące starcie

Noble Fry stał ukryty w głębokich ciemnościach cienia drewnianej markizy wiszącej nad oknem sklepu z siodłami. Między sklepem a sąsiednim budynkiem znajdowało się wąskie przejście, i Fry wybrał to miejsce, ponieważ zapewniało w razie potrzeby dobrą drogę ucieczki.

Stał tutaj, obserwując nieliczne poruszające się postacie, które przechodziły chodnikiem przez plamy światła rozlewające się przed kilkoma wciąż otwartymi sklepami. Jego oczy wielokrotnie wracały do świateł w oknach sklepu Robersona, gdzie jak wiedział działy się rzeczy, które miały kluczowy wpływ na jego życie.

W głowie kłębiły mu się czarne myśli. Nawet gdyby udało mu się zabić Woodbine'a, a potem Amblera, który również wiedział o nim zbyt wiele, by mógł się czuć bezpiecznie, jego pozycja tutaj nie będzie zbyt komfortowa. Wciąż pozostało wielu ludzi, uważających go za winnego stawianych mu zarzutów, nawet jeśli nie zostałyby one udowodnione. Także Virginia mogła w niego zwątpić. W każdym bądź razie wszystkie plany, które tak pieczołowicie stworzył, w ciągu ostatnich dwóch dni zdawały się walić mu na głowę i nie widział nadziei na ich odbudowę w tym miejscu. Może uda mu się namówić Virginię, żeby za niego wyszła, wyprzedać posiadany tutaj majątek i wyjechać gdzie indziej, gdzie mógłby zacząć wszystko od nowa.

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego sprawy tak nagle obróciły się przeciwko niemu. Oczywiście, należało za to winić Woodbine'a, ale wydawało mu się, że to sam los zadał mu zdradziecki cios, podkładając nogę, kiedy był już tak bliski sukcesu. Miał bystry umysł; potrafił planować i dążyć do realizacji swych wielkich planów i zamierzeń, podczas gdy mniejsi ludzie ociągali się i prowadzili małe, nieśmiałe życie bez nadziei osiągnięcia tych wspaniałych celów, na które on zasługiwał.

Przejrzał w głowie ostatnie wydarzenia, aby zobaczyć, w których miejscach popełnił błędy, i nie mógł znaleźć niczego, za co mógłby się obwiniać, może za wyjątkiem kłamstwa, wygłoszonego przez niego, gdy zabił Moody'ego Shaya. Trudno było zresztą szukać w tym jego winy, ponieważ miał tak mało czasu na sklecenie swojej historii, zanim do niego dotarł oddział pościgowy. Być może będzie miał jeszcze okazję wyjaśnić rozbieżności w swojej historii, a wtedy wszystko znów może być w porządku.

Zobaczył, że Virginia Sterling wychodzi ze sklepu Robersona i rusza w jego kierunku. Stukot jej obcasów o deski chodnika był coraz głośniejszy,

a jej postać mijała kolejne plamy światła rzucane przez znajdujące się między nimi okna.

Czekał w całkowitej ciemności, aż Viktoria zbliży się do niego, a potem zawołał ją po imieniu. Zobaczyła ciemniejszy cień jego postaci, gdy wyszedł ze swej kryjówki i stanął przed nią, pozostając wciąż w zbyt głębokim cieniu, by można go było dostrzec z drugiej strony ulicy.

— Chciałem się z tobą zobaczyć — powiedział.

— Przestraszyłeś mnie — odpowiedziała. — Muszę iść do pani Ellis.

— Możesz poświęcić mi chwilę, Virginio? To ważne.

Milczała, a on wypowiedział słowa swojej ostatniej nadziei.

— Virginio, padłem ofiarą serii skandalicznych kłamstw, które Woodbine rozgłosił na mój temat. Nie ma tutaj żadnego innego prawa poza tym, które ustanawiają ludzie, a im nie można ufać w wymierzaniu sprawiedliwości. Jestem w niebezpieczeństwie. Teraz z pewnością nie czas, by o tym mówić, ale jestem do tego zmuszony. Od dawna chciałem cię zapytać, czy za mnie wyjdziesz...

— Przestań!

W głosie dziewczyny słychać było ogromny gniew.

— Ależ Virginio...

— Właśnie idę z posiedzenia komitetu. Wszyscy tam obecni, są uczciwymi i sprawiedliwymi ludźmi. Powiedzieli mi o tym, co się stało z moim ojcem...

— Virginio, nie wolno ci w to uwierzyć! Żaden sąd na świecie by mnie nie skazał...

— I żaden sąd cię nie skaże. Ale my nie jesteśmy sądem. Jesteśmy tylko ludźmi, którzy muszą polegać na własnych słabych zmysłach w formułowaniu naszych osądów. Poznałam całą historię i wierzę, tak jak oni, że to ty kazałeś zabić mojego ojca. To mi wystarczy.

Czuł palący gniew w jej słowach i w jakiś sposób przez kontrast przyniósł mu on z oszałamiającą jasnością świadomość, że gdyby dobrze rozegrał swoją kartę, to ona byłaby jego, ponieważ czuł, że spoglądała na niego z zainteresowaniem. To sprawiło, że smak jego straty stał się jeszcze bardziej gorzki.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza, po czym Virginia powiedziała:

— Będą cię sądzić za morderstwo. Mówię ci to, byś miał czas wyjechać stąd, bo na pewno cię powieszą.

Zaskoczony i czując przypływ nadziei, zapytał:

— Virginio, czy ty nadal jesteś mną tak bardzo zainteresowana jak przedtem?

— Nie — odparła — nie jestem. Gdyby cię powiesili, spotkałoby cię tylko to, na co zasługujesz. Mam inne powody.

W jego głosie pobrzmiewała zimna ironia, gdy w chwili ostatecznej śmierci swoich wszystkich nadziei zapytał:

— Może to nie moja sprawa, lecz co takiego jest w moim życiu, że tak bardzo zależy ci na tym, aby pomóc mi je uratować?

— Komitet wysłał Jima Woodbine'a, żeby cię sprowadził na rozprawę. On spotka się z tobą twarzą w twarz, a nie będzie skradał się za twymi plecami. Nie chcę, żebyś ty skradał się za jego plecami.

— Rozumiem — odparł spokojnie cicho Fry. — Teraz to Woodbine. Wcześniej byłem to ja. Kto będzie następny?

— Zaoferowałam ci szansę na uratowanie życia — odparła chłodno. — Szansę, na którą nie zasługujesz. Podziękowałeś mi za nią obelgami. Nie mam ci już nic więcej do powiedzenia.

— Oferujesz mi moje życie, by ocalić życie innego człowieka. — Noble Fry zaśmiał się gorzko. — Woodbine mnie ściga, a ty nie chcesz, żebym zrobił mu krzywdę. No cóż, ja też go ścigam, a po tym, ile mnie on kosztował, nie ma we mnie ani krzty litości.

— Teraz widzę, że nigdy nie było — oznajmiła, odwróciła się i odeszła.

Obrócił się na pięcie i schował się z powrotem w przejściu między budynkami, wiedząc, że w Ashfork nie pozostało mu już nic, poza zemstą na człowieku, który doprowadził do jego upadku. Lecz przepełniał go tak nieposkromiony gniew, że chętnie zaryzykowałby pozostanie tutaj, dopóki jego zadanie nie zostanie wykonane, pomimo wiszącego nad jego głową cienia pętli. Tą sprawą mógł zająć się później, bo wciąż był mądrym człowiekiem.

* * * *

Woodbine skończył kolację, kupił cygaro i zapalił je, i niebawem wyszedł z restauracji, zmierzając w kierunku stajni, aby zabrać swojego konia. Nie podejrzewał, że Fry jest w mieście i zamierzał pojechać po niego na ranczo. To była niesmaczna robota i chciał ją mieć już za sobą.

Był gdzieś w pobliżu baru Tudery'ego, gdy z ciemności padł strzał i powalił go na ziemię. Cygaro wypadło mu z ust, a kapelusz potoczył się do rynsztoka. Kula trafiła go w bok, ogłuszając go i pozbawiając tchu. Ciężko dysząc łapał powietrze, a instynkt samozachowawczy kazał mu czołgać się na rękach i kolanach w stronę ciemności.

Drugi strzał wyrwał wiązkę drzazg z chodnika, które przeorały mu twarz. Dostał się w ciemne miejsce i podciągnął się na nogi przy pomocy ściany budynku, opierając się o nią plecami, po czym wyciągając broń.

Strzały padły spomiędzy dwóch budynków po drugiej stronie ulicy, a on stał i czekał, aż padnie trzeci strzał, a kiedy tak się stało, dostrzegł niewielki rozbłysk rewolweru i wystrzelił w jego kierunku. Kiedy padł czwarty strzał, osunął się na kolano, kula uderzyła w ścianę tuż obok niego. Skrywał się w ciemności i stanowił kiepski cel. Człowiek, który przygotował zasadzkę też znajdował się w mroku i nie widział celownika swojej broni, w związku z czym celował tylko instynktownie.

Napastnik oddał jeszcze jeden strzał, po czym nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której Woodbine wiedział, że nieprzyjaciel przeładowuje rewolwer, przekonany, że ma go w garści. Woodbine zdawał sobie sprawę z tego, że został przygwożdżony, a na swojej odsłoniętej pozycji nie będzie miał możliwości przeładowania broni. Wstrzymał więc na razie ogień.

Dalej wzdłuż ulicy, Virginia wyszła z domu doktora Ellisa, a ze wszystkich innych drzwi wyłaniali się ludzie. Merle Roberson wyszedł ze strzelbą ze swego sklepu, za nim Bob Burnham z rewolwerem w ręku i inni

członkowie komitetu. Nieco dalej trzech mężczyzn wyszło z Parisian i zaczęło biec w kierunku strzelaniny.

Roberson i Burnham rozpoznali ludzi Frya i od razu wiedzieli, co się dzieje. Roberson krzyknął do nich przez ulicę.

— Stójcie, chłopcy, mam w tej strzelbie naboje na grubego zwierza!

Burnham również wymierzył w tych ludzi i krzyknął:

— Podejdźcie tu i stańcie bez ruchu.

Dwóch mężczyzn posłuchało, ale trzeci popędził dalej ulicą.

Roberson strzelił do niego i spudłował, wtedy z Rattlesnake wybiegł Tudery z dwulufowym obrzynem. Roberson krzyknął:

— Zatrzymaj go, Tudery! Zastrzel go!

Tudery wystrzelił i biegnący zatrzymał się, a potem podniósł ręce.

— Proszę do mnie, drogi panie — rzucił ostro Tudery i mężczyzna podszedł do niego.

Wtedy człowiek ostrzeliwujący Woodbine'a przeładował broń i wyszedł ze swojej kryjówki między dwoma budynkami. Był to Hugh Ambler.

Wykrzyczał nazwisko Frya i zawołał:

— Mamy go! Chodź tu szybko!

Fry również wyszedł ze swojego zaułka, po tej samej stronie ulicy co Woodbine, i zaczął iść, a drogi jego i Amblera zbiegały się w stronę Woodbine'a.

Woodbine, przyklękając na jedno kolano i opierając się o ścianę, ocenił ryzyko stwarzane przez obu mężczyzn i wycelował w Amblera jako bardziej niebezpiecznego.

Ambler znajdował się właśnie na środku ulicy. Zatrzymał się, rozstawił nogi w pozycji strzeleckiej, uniósł rewolwer i powoli wycelował w ciemny cień, który tworzyła postać Woodbine'a.

Woodbine wycelował broń instynktownie, tak jak wskazywałby palcem w ciemności, i pociągnął za spust. Ambler chrząknął, gdy kula powaliła go na plecy. Przekręcił się na brzuch i zaczął się czołgać w kierunku swojej kryjówki.

Nieustannie planujący umysł Noble Frya działał szybko. Woodbine nie był człowiekiem, który dobiłby rannego, wyczołgującego się z walki przeciwnika, a więc Ambler mógł przeżyć, by o wszystkim opowiedzieć. W ferworze walki nikt nie będzie w stanie przypomnieć sobie szczegółów starcia, a z rannym i na wpół leżącym Woodbinem mógł już poradzić sobie sam. To była chwila, w której nadarzała się okazja. Fry powoli i ostrożnie wycelował rewolwer i zabił Amblera w momencie, gdy czołgający się człowiek prawie dotarł do swojej kryjówki.

Następnie odwrócił się i ruszył w kierunku Woodbine'a. Woodbine widział morderstwo, a teraz wciąż klęcząc, przesunął swoje ciało tak, że znalazł się twarzą do Frya.

— Zatrzymaj się, Fry — powiedział. — Nie chcę cię zabić.

— Naprawdę? — zadrwił Fry. — Jak miło z twojej strony.

Wystrzelił, a jego kula świsnęła obok ucha Woodbine'a.

— Rzuć broń, Fry, i podejdź do mnie. Będziesz miał uczciwy proces.

— Kiedy? Po tym, jak mnie powieszą?

Fry wystrzelił ponownie, a kiedy zobaczył, że Woodbine nie upadł, zaklął i zaczął biec prosto w jego stronę.

W tej gorzkiej chwili porażki stracił wszelkie poczucie ostrożności, i teraz pozostała w nim tylko instynktowna żądza zabicia osaczonej ofiary. W trakcie biegu oddał jeszcze dwa strzały, po czym zdał sobie sprawę ze swojego błędu.

Zatrzymał się, uniósł broń i wymierzył w Woodbine'a. Wtedy Woodbine uważnie pociągnął za spust. Jego kula powaliła Frya i rzuciła do pozycji siedzącej. Fry siedział przez chwilę na środku ulicy, oszołomiony. Następnie uniósł broń, zaklął i powoli opuścił ją ku ziemi.

Woodbine ustabilizował swój rewolwer i posłał bezlitosną kulę w serce Frya. Dłoń Frya osunęła się w pył ulicy, a odruch mięśni jego umierających już palców dokończył wciskanie spustu i rewolwer zabójcy posłał ostatnią kulę nieszkodliwie tuż obok niego w ziemię. Ciało Frya powoli opadło na broń, już martwe.

Woodbine zsunął się do pozycji siedzącej, opierając się plecami o ścianę sklepu i wyciągając przed siebie nogi. Opuścił broń, pochylił głowę i ogarnęło go największe znużenie, jakie kiedykolwiek znał. Myślał: "Teraz już po wszystkim i nie warto było się wysilać. Będzie mnie nienawidziła do końca moich dni. Sprzedam wszystko i pójdę gdzie indziej, gdzie nie będę musiał jej oglądać."

Musiał zasnąć, bo następną rzeczą, jaką zobaczył, było czyste, białe łóżku w którym leżał, a pani Ellis krzątała się wokół niego. W drugim pokoju słychać było głosy jego przyjaciół, lecz Virginia była tutaj, siedząc na krześle tuż przy jego łóżku. Pani Ellis uśmiechnęła się do niego i dyskretnie wyszła z pokoju.

Popatrzył na Virginię i dotarło do niego poczucie wielkiej straty. Powiedział:

— Chyba już wszystko wiesz. Przepraszam cię, Virginio, nie chciałem go zastrzelić. Gdybym miał to zrobić raz jeszcze, nie zrobiłbym tego. To nie jest tego warte.

— Dobrze zrobiłeś — odparła Virginia. — W głębi serca był podłym człowiekiem. Widziałam, jak celowo strzelił Amblerowi w plecy, gdy ten próbował się odczołgać. Teraz już wiem, że wszystko, co w nim podejrzewałaś, musiało być prawdą. Byłam ślepa, Jim.

— Ja też — powiedział Jim. — Narobiłem bałaganu, sprzedam wszystko i odejdę stąd.

— Ty i Amy? — spytała głosem, który usilnie starała się kontrolować.

— Nie, od czasu gdy cię pocałowałem. Nigdy nie będzie już nikogo innego.

Virginia roześmiała się, a w jej śmiechu były łzy, opadła na kolana obok łóżka i objęła go za szyję, jej głos zabrzmiał miękko tuż koło jego twarzy.

— Jim, wiele razem przeszliśmy i najwyższy czas dorosnąć. Jak mogliśmy żyć bez siebie nawzajem? Nie urodziliśmy się po to, by siedzieć, wegetować i mieć święty spokój; mamy nasze nieporozumienia, dlatego że jesteśmy ze sobą tak blisko związani. Ale przecież są też inne silne chwile, Jim...

Jego usta natrafiły na jej wargi i poznał część chwały, jaką obiecywały te chwile. Opadło z niego znużenie, a przyszłość była wypełniona jej obecnością, pełną ognia, czułości i radości życia, po wsze czasy.

KONIEC